

WACŁAW F. CAŁUS

JEDNA EUROPA

SZTUCZNY podział Europy na dwie strefy wpływów jako skutek drugiej wojny światowej przyczynił się do uświadomienia wszystkim faktu, że cały kontynent europejski stanowi jedną całość pod względem nie tylko geograficznym ale i pod względem przeżyć historycznych i tworzenia wspólnej kultury. Wyjątkowo duży postęp w rozwoju wszelkiego rodzaju środków komunikacyjnych był dodatkowym czynnikiem, który przyspieszył zauważenie tego faktu. Po zakończeniu usuwania zniszczeń wojennych już w latach 1950-tych i 1960-tych zaczęły narastać kontakty handlowe między poszczególnymi państwami obu części Europy, mimo że stosunki między supermocarstwami były w dalszym ciągu napięte. Budowa berlińskiego muru w roku 1962 i kryzys kubański w roku 1961 stały się punktami kulminacyjnymi tego napięcia.

Dużym krokiem w kierunku odprężenia było zawarcie szeregu traktatów pod ogólną nazwą *Ostpolitik* w latach 1970-1972 a następnie konferencja 35 państw w Helsinkach. W tym to okresie odprężeniowym istniejąca już od szeregu lat Wspólnota Europejska zaczyna się interesować problemem jedności Europy. We Wspólnocie istnieje świadomość, że ostateczny cel jednej Europy jest długofalowym zadaniem i że jest wiele różnych metod prowadzących do niego. Dla uwypuklenia tych różnic stosunek do Europy Wschodniej zotanie rozważony w trzech częściach: działalność biurokracji

Wspólnoty, linia polityczna większości członków Wspólnoty i linia polityczna Niemieckiej Republiki Federalnej.

Biurokracja Wspólnoty Europejskiej

W zasadzie Biurokracja Wspólnoty wykonuje postanowienia Rady Międzyministerialnej, ale jej prace często natrafiają na praktyczne trudności wymagające korektur postanowień Rady. Tu istnieje okazja do zniekształceń pierwotnej linii politycznej. Obecnie organizacja wymiany handlowej członków Wspólnoty z członkami Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej (RWPG) jest nadzorowana przez Komisję w Brukseli. Natomiast RWPG nie ma w swej organizacji działu, który byłby zdolny do wykonania podobnej funkcji. Dlatego, dopóki organizacja RWPG jest niekompletna, istniejące układy handlowe należą do dwóch kategorii: Układy zawarte między Komisją w Brukseli i indywidualnymi państwami w RWPG, oraz układy zawarte między indywidualnymi państwami obu bloków. Tendencją Komisji, jak każdej innej biurokracji, jest upraszczanie procedury przez kanalizowanie wszelkich negocjacji, nie tylko handlowych, do biurokratów obu bloków. Szereg względów natury politycznej stoi na przeszkodzie takich uproszczeń natury biurokratycznej. Jednym z nich jest fakt, że mniejsze kraje bloku wschodniego nie chcą by ich handel był nadzorowany przez organizację RWPG. Rosja traktowała Wspólnotę ja-

ko jedną z podbudówek pracujących na rzecz aliansu NATO i Stanów Zjednoczonych i dlatego prowadziła politykę nie uznawania jej. Breżniew zmienił to nastawienie w roku 1972, kiedy stało się jasne, że EC jest czasami w konflikcie z USA. Ale z drugiej strony EC pracując nad zjednoczeniem Europy Zachodniej prowadzi do zorganizowania niezależnej siły politycznej i militarnej, co komplikuje stosunki między supermocarstwami i jest szkodliwe z punktu widzenia supermocarstw. Dopiero po dojściu do władzy Gorbaczowa nastawienie takie zmieniło się i Rosja oświadczyła gotowość do negocjacji między EC i RWPG celem wzajemnego uznania się i określenia zakresu ich działalności.

Jak do tej pory stroną inicjującą negocjacje była Komisja EC. Już w roku 1976 EC i RWPG wypracowały projekt układu w sprawach wymiany handlowej między obu blokami. Prace nad tym projektem zostały nagle przerwane w roku 1979 na skutek interwencji sowieckiej w Afganistanie. Dopiero w roku 1981 Wilhelm Haferkamp z ramienia Komisji EC zwrócił się do RWPG pisemnie o wznowienie negocjacji. Dopiero w czerwcu 1985 roku EC otrzymała pisemną zgodę na te propozycje. (*International Affairs*, Vol 63, Nr. 2, 1987).

Wydaje się, że stosunek Rosji do EC jest dyktowany przede wszystkim względami polityki globalnej a nie gospodarczymi. Rosja ma cenne i wielce pożądane na Zachodzie surowce, które sprzedaje bez trudności w bilateralnych układach. Mniejsze państwa RWPG natomiast eksportują produkty swych przemysłów napotykając silną konkurencję na Zachodzie. Z dotychczasowego ich doświadczenia z Zachodem wynika, że mogą liczyć na większe powodzenie w bilateralnych negocjacjach z państwami Zachodu z pominięciem centralnej organizacji RWPG. Stąd istnieje tam wybitny brak entuzjazmu do centralnej organizacji RWPG.

Mimo biurokratycznych nawyków w Komisji EC wielu ludzi rozumie problemy mniejszych państw w bloku wschodnim i robią, oni wysiłki, by choć częściowo przyjąć im z pomocą. Dlatego na przykład warunkiem Komisji EC w razie pozytywnego rezultatu ich negocjacji z RWPG jest to by istniejące bilateralne układy handlowe pozostały w mocy. Ten warunek jest ważny, ponieważ sieć bilateralnych układów jest dość duża i ciągle rośnie, tak że gdy wejdzie w życie plan uzgodniony między EC i RWPG, zakres jego działania będzie dość ograniczony.

Europa Zachodnia

Wśród członków Europejskiej Wspólnoty (EC) istnieje rozbieżność co do tego, czy należy oprzeć stosunki z Europą Wschodnią na bilateralnych kontaktach między państwami obu bloków, czy na kontaktach między blokami. Tę rozbieżność definiuje ściśle specjalista do spraw międzynarodowych R. M. Cutler w *International Affairs*, vol 63, Nr 2, str. 267 w następujący sposób: „Chociaż Zachodnie Niemcy są zwolennikami utrzymania

formalnych stosunków między blokami, rządy pozostałych państw członków EC jak i niektórzy członkowie Komisji w Brukseli są temu zdecydowanie przeciwni”.

Najwcześniejszą akcją traktowania Europy jako całości ze względów historycznych, wspólnej przeszłości i wspólnej kultury były hasła De Gaulle'a Europy od Atlantyku do Uralu. Jego podróże do Rosji, Polski, Rumunii i innych krajów miały na celu realizowanie tej idei. Były to jednak wysiłki podjęte w okresie napięcia politycznego na linii Wschód-Zachód i dlatego skazane na niepowodzenie. Idea De Gaulle'a jednak przyjęła się już po jego odejściu, w klimacie *détente* jako długofalowy cel.

Późnym głosem w ruchu traktowania Europy jako jednostki historyczno-kulturalnej jest głos Papieża Jana Pawła II poprzez jego akcje jednoczenia chrześcijan całej Europy.

Jednoczenie Europy jest także celem różnych historycznych lewicowych ruchów jak i nowopowstałych grup dla przeprowadzenia doraźnych akcji jak jednostronne rozbrojenie nuklearne. Powiększają one liczbę zwolenników zmian, ale ich długofalowym celem jest Europa zorganizowana zgodnie z marksistowskimi zaleceniami.

Wśród państw Europy Zachodniej istnieje głęboko zakorzeniona wiara w zasadę, że *détente* na linii Wschód-Zachód przynosi sprzyjający klimat do większej swobody politycznego działania w bloku wschodnim jak i do ożywionych kontaktów między krajami obu części Europy. Każde zaostrenie stosunków między supermocarstwami powoduje zaostrenie dyscypliny w bloku wschodnim. Z tego powodu było tak dużo poparcia w całej Europie dla procesów helsińskich. Ich wynikiem była ożywiona działalność związkowa i polityczna w bloku wschodnim i kontakty wszelkiego rodzaju z państwami na Zachodzie.

Pogłębiające się zaangażowanie W. Brytanii w życie Wspólnoty Europejskiej jest pewnie powodem szeregu wypowiedzi jej ministra spraw zagranicznych Sir Geoffrey Howe, w których podzielał wszystkie już wymienione elementy łączące obie części Europy opowiada się za ożywieniem bilateralnych stosunków jako jedyny skuteczny środek jednoczący. Szczególnie wyraźnie określił on swoje stanowisko w tych sprawach w przemówieniu w Instytucie Spraw Międzynarodowych w Hadze 17 czerwca 1985 opublikowanym w jego zbiorze przemówień pod tytułem *Europe Tomorrow* przez Foreign and Commonwealth Office. Sir Howe wyraźnie demaskuje wszelkie próby destabilizacji Europy Wschodniej przez odmowę kredytów i wymiany handlowej, co potwierdza, że takie akcje miały miejsce. Przestrzega on jednak aktywistów politycznych przed próbami osiągnięcia zbyt szybkich zmian w sytuacji społeczno-politycznej we Wschodniej Europie, bo to niewątpliwie napotka na opór ze strony sowieckiej. Ludzie tam powinni być przyzwyczajeni do faktu, że ewolucyjne procesy także obfitują w porażki.

Elity niemieckiego establishmentu ciągle marzą o zjednoczeniu Niemiec, a wiele z nich także o rewizji ich granicy ma wschodzie, chociaż niewiele mówi się głośno zwłaszcza o tym drugim problemie. Jednak polityka niemiecka jest pod dużym wpływem tych dwóch dążeń. Znajduje to także wyraz w stosunku do problemu, czy dać pierwszeństwo stosunkom między dwoma blokami państw w Europie czy bilateralnym stosunkom. Niemcy w przeciwieństwie do wszystkich innych państw lepiej się czują z tą pierwszą alternatywą. Może to wpływa częściowo z ich naturalnego przyzwyczajenia do prostszych biurokratycznych metod, ale jest także prawdą, że kontakty między blokami byłyby kontaktami z Rosją, która ma najwięcej do powiedzenia w kwestii niemieckiej.

Publicysta z *Die Welt* Herbert Kremp cytując jedną z licznych propozycji rozwiązania kwestii niemieckiej, mile widzianej w Niemczech: „Dla Gorbaczowa i jego współpracowników może być atrakcyjną idea *Pax Sovietica* w Europie, co byłoby możliwe po wyjściu z Europy Stanów Zjednoczonych pod względem wojskowym i politycznym i założenia Federacji Niemieckiej (a nie zjednoczonych Niemiec) gospodarczo nastawionej na współpracę ze Wschodem”. (*Die Welt*, 15.5.1987). Gospodarcze aspekty tej propozycji stanowią atrakcję dla Rosji.

Innym przykładem popierania idei stosunków między blokami jest rezolucja wydana przez polsko-niemieckie forum, które odbyło się w Kiel w maju bieżącego roku. Delegacja niemiecka składała się z przedstawicieli Chrześcijańskiej Demokracji i Socjaldemokratów pod przewodnictwem Prof. Karl Kaisera, a polskiej delegacji przewodniczył Ryszard Wojna. Uchwalono tam następującą rezolucję w sprawie współpracy w Europie: „Forum zwraca się do Europejskiej Wspólnoty o wydanie deklaracji stwierdzającej potrzebę nawiązania formalnych stosunków między Europejską Wspólnotą a Radą Współpracy i Pomocy Gospodarczej” (*Frankfurter Allgemeine Zeitung für Deutschland*, 12.5.87).

Rezolucja wydana przez to forum reprezentuje poglądy partii rządzącej NRF. Socjaldemokracja niemiecka, sądząc z kierunku jej dobrze zaawansowanej i niezależnej polityki wschodniej, pewnie nie przywiązuje wagi do tej deklaracji. Socjaldemokratów w programie tak zwanej drugiej *Ostpolitik* uzgodnili już projekty układów z Polską w sprawie współpracy w dziedzinie bezpieczeństwa, a z Niemiecką Republiką Demokratyczną w sprawie ustanowienia strefy wolnej od broni chemicznych. Projekty tych układów mają wejść w życie po dojściu do władzy Socjaldemokratów w Niemieckiej Republice Federalnej.

Socjaldemokratów w sprawach współpracy w Europie mają więcej wspólnego z resztą Europy Zachodniej niż Chrześcijańska Demokracja. Natomiast są bardzo duże różnice między nią a Europą w sprawach bezpieczeństwa i stosunku do Stanów Zjednoczonych.

DO NASZYCH CZYTELNIKÓW

JUŻ NIEWIELE PONAD dwa miesiące dzieli nas od Świąt Bożego Narodzenia. I w tym roku, tradycyjnym już zwyczajem, wydawnictwo nasze zamieści w grudniowym numerze listę życzeń świątecznych. Od szeregu lat rosła ona systematycznie, pojawiały się nowe nazwiska zastępując z naddatkiem te które zostały z niej z żalem opuszczone już bezpowrotnie. lista ta jest każdego roku najbardziej wymownym świadectwem naszej wspólnoty ideowej i łączności wewnętrznej — pomimo olbrzymich nie-raz przestrzeni dzielących jednych Czytelników od drugich. Lista ta jest jednak ponadto tym koniecznym dodatkiem, który pozwala pismu wyrównywać ciągle rosnące koszty druku i pocztu. To dzięki niej „Myśl Polska” mogła już od wielu lat utrzymać się na zdrowych podstawach finansowych.

Jednym z naszych osiągnięć, z którego możemy być dumni to fakt coraz szerszego rozchodzenia się naszego pisma w kraju, nie tylko do bibliotek i instytucji, ale także na adresy prywatne. Cieszy nas także to, że nasi przyjaciele w kraju powielają w mniejszym formacie każdy numer, udostępniając go szerszej opinii.

Jako pismo naprawdę niezależne, utrzymywane wyłącznie przez swych Czytelników, „Myśl Polska” ma swobodę wykuwania realnej, niezależnej polityki polskiej, pragnącej służyć wyłącznie Polsce, jej wolności i jej przyszłości. Stąd staje się ona naturalnym organem dla wszystkich, którzy pragną tego samego, wspólną platformą tworzenia niezależnej, dalekowzrocznej, odważnej i na moralnych podstawach opartej myśli politycznej.

Wierzmy gorąco, że Czytelnicy nasi z różnych krajów zareagują jak najliczniej na nasz apel i dadzą wsparcie pismu, które od 45 lat stara się wytrwale służyć sprawie Polski i Narodu.

Ze względu na niezrozumiałe ale powszechne już zjawisko zlego funkcjonowania pocztu na wszystkich kontynentach, prosimy o niezwłoczne przestanie nam zgłoszenia swego uczestnictwa w liście życzeń świątecznych.

WYDAWNICTWO MYŚLI POLSKIEJ

ANDRZEJ MEISSNER

SŁOWO NA CMENTARZU BRÓDNOWSKIM

W WARSZAWIE i innych miastach Polski utrwała się tradycja, że w rocznicę podpisania Traktatu Wersalskiego schodzą się zwolennicy myśli politycznej Romana Dmowskiego, aby głębszą refleksją uczcić ten wielki akt międzynarodowy. W bieżącym roku na cmentarzu Bródnowskim przemówienie wygłosił Andrzej Meissner.

REDAKCJA

DO tradycji weszło spotkanie na cmentarzu bródnowskim w rocznicę podpisania Traktatu Wersalskiego. Tym razem jest to 68 rocznica.

Może ktoś zapytać, dlaczego poświęcamy chwilę refleksji temu międzynarodowemu traktatowi i dlaczego właśnie w tym miejscu. Odpowiedź jest dość prosta. Powodem jest znaczenie, jakie Traktat Wersalski miał dla historii Polski — zresztą i Europy, a jesteśmy przy miejscu spoczynku Romana Dmowskiego. Przewodził on tej ogromnej pracy, która sprawiła, że Polska była nie tylko sygnatariuszem traktatu, ale jego współtwórcą.

Traktat Wersalski. 104 lata przed nim Traktat Wiedeński wymazywał Polskę z listy państw Europy. 28 czerwca 1919 roku Traktat Wersalski uznawał ponownie państwo polskie, jako państwo niepodległe. Uznawał Polskę jako członka państw alianckich. A co może najważniejsze, uznawał ją nie w formie szczątkowej, w postaci Księstwa Warszawskiego czy kadłubowego królestwa pod berłem cara czy króla pruskiego, ale jako państwo zjednoczone: z ziemiami Polski Centralnej, z Małopolską i Ziemią Krakowską, potwierdzoną traktatem w St. Germain, z Wielkopolską, z Pomorzem i dostępem do morza oraz z otwartą drogą do pozyskania Górnego Śląska i Mazur.

Traktat Wersalski stał się, bez wątpienia, jednym ze słupów milowych historii Polski, do których należą również: chrzest, koronacja pierwszego króla, zjednoczenie kraju po rozbiciu dzielnicowym, unia w Horodle, traktat toruński, odsiecz wiedeńska czy Konstytucja 3 Maja.

Różne publikacje i wystąpienia w ciągu ostatnich blisko 70 lat mówiły: jedno o „wskrzeszeniu” Polski, inne o tym, że odzyskanie niepodległości nastąpiło wyłącznie w wyniku sprzyjającej koniunktury międzynarodowej, czy w wyniku błyskotliwych, obrazkowych akcji lub pojedynczych aktów prawnych. Nie jest to ani ściśle, ani prawdziwe.

Na zjednoczoną Polskę złożyło się 20 lat intensywniej, żmudniej pracy. Pracy nie dla poklasku, nie dla przeżywania łatwych emocji, śpiewania pieśni i zaspokajania ambicji. Ale pracy dla wytyczonego trzeźwo celu, którym było odbudowanie państwa. Pracy opartej na głębokiej znajomości tematu i stosunków w tej części Europy. Pracy nie lękowej na efekt, ale na realny skutek.

Zadanie było niezmiernie trudne. Trzeba było nie tylko dawać odpór zaborcom. Trzeba było równocześnie na przełomie wieków i później przekroczyć próg społecznej świadomości, przeniesionej z wieku XIX. Odejść od stereotypu myślenia kategoriami skrawka Polski, jednej dzielnicy, czy grupy. Od zaślepienia nienawiścią do jednego zaborcy. Od tragicznych zrywów, kończących się przybieraniem Polski w cierniową koronę.

Trzeba też było wdrożyć świadomość, że Polska kadłubowa nie może być Polską niepodległą, co nie wszyscy wówczas rozumieli. Tak więc też rodziła się świadomość, że nie można mówić o Polsce, bez jej poważnie wówczas zagrożonych ziem zachodnich i bez Pomorza.

Dawało to wytyczne na przyszłość, ale już pod koniec wieku padały znamienne słowa Popławskiego. Ten syn Ziemi Lubelskiej mówił w 1899 roku: „TAK — marną byłaby ta przyszła Polska, której nie doczekamy zapewne, ale którą oglądać będą dzieci i wnuki nasze — nie tylko bez Poznania, ale bez Śląska, bez dostępu do morza, a więc do Gdańska i Królewca. Te prowincje... są koniecznym warunkiem istnienia państwa polskiego”. Tak — proszę Państwa — rodziła się w ostatnich latach XIX wieku współczesna myśl polityczna — prowadząc do ustaleń wersalskich.

Proszę mi jednak pozwolić na przytoczenie jeszcze jednego fragmentu myśli Popławskiego — wybiegającej nieco dalej: „Niewątpliwie wolna droga od Królewca do Wrocławia przez Poznań jest dziś niezbędna dla państwa pruskiego. Rozumiemy dobrze, że chce ją ono zabezpieczyć. Ale nie jest zbyt śmiałym przypuszczeniem, że za drugie sześćdziesiąt lat zabezpieczenie tej drogi okaże się już niepotrzebne, skoro nasz ruch narodowy oskrzydli Wrocław i Królewec”. 60 lat... Powrót Polski do Wrocławia nastąpił w 47 lat po tych słowach.

Nie tu miejsce i czas, by szczegółowo mówić o działalności zastępcy ludzi przed pierwszą wojną światową dla realizacji wytkniętego celu. Począwszy od szerokiej akcji

NADEŚLANE Z KRAJU

światowej, pozyskania do pracy narodowej ludności wsi, od działalności organizacyjnej we wszystkich trzech zaborach jednocześnie, — po wprowadzenie sprawy polskiej do zagadnień europejskich na forum parlamentów państw zaborczych, i — co było w najwyższym stopniu istotne dla Polski — utrzymanie Rosji w obozie państw alianckich i zabezpieczenie od własnych lekkomyślnych poczynań, które by zaborców łączyły i uniemożliwiały wykorzystanie sytuacji międzynarodowej dla sprawy polskiej.

Doszło do zakończenia wojny i do podpisania traktatu. Nie rozwiązywał on wszystkich problemów kraju. Pozostawała sprawa plebiscytów na Górnym Śląsku i na Mazurach, ustalenie granicy wschodniej i organizacji państwa po okresie zaborów. Ale podstawowe zadania: ustalenie zachodniej granicy państwa i zjednoczenie kraju zostały wykonane. Wspominałem już, że Polska podpisująca Traktat Wersalski przez Dmowskiego i Paderewskiego — to nie tylko uczestnik, ale w pełni jego współtwórca. Znając realia tej części Europy, delegacja polska wysuwała propozycje rozwiązań dla tego skrawka świata. I były one realizowane. Granice i państwa wówczas ustalone istnieją do dziś, z wyjątkiem przesunięcia granic Polski na zachód.

Mówił Dmowski o chwili przedstawienia delegacji niemieckiej projektu traktatu: „Zapomniałem wówczas o rzeczach i ludziach małych, o sprawach i utarczках codziennych, o marnych ambicjach

i marnych intrygach, które stawały na drodze w dążeniu do wielkiego celu — myśl biegła po wielkich szlakach dziejowych, sięgała w odległą przeszłość, szukała odpowiedzi na zagadnienia przyszłego bytu państwa i narodu”.

Jeżeli dzisiaj przyjrzyć się mrówczej pracy Komitetu Narodowego Polskiego i delegatów na Kongres, to można sobie wyobrazić trud, jakiego wymagało uświadomienie decydom traktatu granic państwa, które nie istniało w tych granicach 147 lat. Trud, który miał przynieść efekty. Prawdziwe osiągnięcia nie pochodzą z powielania słów, z patosu i składania wieńców.

Można się więc zapytać, jakie to zasady przyświecały tym ludziom dwudziestolecia od końca wieku po podpisaniu traktatu. Chciałbym tu wymienić trzy z nich:

— pierwsza — to rzeczowa analiza zagadnień politycznych, gospodarczych, czy społecznych, bez ulegania chwytliwym, być może popularnym hasłom;

— druga — to stawianie dobra kraju przed interesem osobistym i grupowym;

— trzecia — to to, co Dmowski określił: „jestem Polakiem, więc mam obowiązki polskie”, a co nazwał kardynał Wyszyński: „obowiązek wobec kraju”.

A więc zasady w pełni przydatne na dziś. Można tylko wspomnieć, że nie zachowanie tych prostych zasad przysparzało sporo kłopotów w tamtym okresie. Trzeba je było pokonywać wówczas — trzeba i dziś. Zachodzi pytanie — czy dziedzictwo polityczne, prowadzące Polskę do ustalenia Traktatu Wersalskiego zakończyło się w roku 1919? Nie, nie zakończyło się. Naród

polski bez wahania odrzucił żądania Hitlera i nie zgodził się na oddanie autostrady i Gdańska. W kwietniu 1939 roku padają tu, w Warszawie słowa Kazimierza Kowalskiego o „granicy zabezpieczającej Polskę przed groźbą ponownego najazdu, opartej na Dolnej Odrze i Sudebach”. Pragnę powtórzyć: w kwietniu 1939 roku.

Druga wojna światowa przyniosła powrót do Polski dzisiejszych Ziemi Zachodnich. Fakt o podstawowym znaczeniu nie tylko dla Polski, ale i dla Europy, a również dla Kościoła Katolickiego. Mamy obowiązek o tym pamiętać.

Przed dwoma tygodniami Ks. Biskup Kazimierz Majdański, witając Jana Pawła II w Szczecinie, wspominał o tych, którym Polska zawdzięcza ten fakt. A więc zarazem fakt, że katedry we Wrocławiu, Gorzowie, Kamieniu Pomorskim, Kołobrzegu, Gdańsku i Olsztynie — według znanego zwrotu — „wróciły do wiary katolickiej, bo wróciły do Polski”. I te słowa należy mieć w pamięci.

Zebrałiśmy się w tej części cmentarza bródnowskiego. Jesteśmy dziś z różnych części kraju tu w Warszawie, bo w tej części świata jest nasze miejsce, bo tu jest nasz kraj. Nie „ten kraj” — tylko nasz kraj. Bo tu jest po prostu Polska. Ale Polska była też wtedy: 28 czerwca 1919 roku w dalekim Wersalu w umyśle i w sercu tego człowieka, o którym powiedziałem tak mało, a u którego grobu stoimy. Dlatego tego dzieła jest z nami na dziś i będzie na jutro.

Sądzę, że wyrażę odczucia wszystkich zebranych, gdy podziękuję organizatorom za umożliwienie tych paru chwil refleksji.

STANISŁAW KOZANECKI

REFORMATOR CZY LIKWIDATOR?

DOMINUJĄCYM problemem pierwszej połowy XX-go wieku było przeciwstawienie się próbie Rzeszy Niemieckiej opanowania Europy. Wspólnymi siłami bijąc się o wolność antygermańskiej Europy, przy doniosłej (jeśli nie decydującej) pomocy północnej Ameryki, ta próba została unicestwiona.

Drugim, nie mniej ważnym problemem naszego wieku stał się sowiecki komunizm, który grając na imperialistycznych ambicjach narodu rosyjskiego postawił sobie za cel światową rewolucję proletariatu. Gdy po drugiej wojnie światowej Rosja sowiecka zagarnęła prawie połowę Europy a w kilka lat później w Chinach objął władzę Mao Tse-tung, pokojowe starcie z marksizmem stało się głównym problemem wolnego świata.

Trzecie ćwierćwiecze XX-go wieku wykazało na szczęście, że nie tylko w Rosji sowieckiej ale także i w Chinach i wszędzie tam gdzie marksści opanowali władzę, te w teorii idealne koncepcje ulepszenia świata, są — w praktyce — tego ideału zaprzeczeniem. W Chinach, po śmierci Mao Tse-tunga, Den Xiaoping próbuje komunizm reformować czy przekształcać. To samo zjawisko, innymi metodami, zachodzi od kilku lat w Rosji sowieckiej, gdzie po serii niedołączonych starców doszedł do władzy Gorbaczow.

Sowietolodzy są dziś na ogół zgodni, że Gorbaczow jest świadom słabości systemu komunistycznego, że jego deklaracje nie są mydleniem oczów Zachodu, że chce on faktycznie rewolucji bez rewolucji, by

Z.S.R.R. nie ześlizgnął się z czasem ze swej dotychczasowej pozycji drugiego mocarstwa światowego, co może mu grozić, jeśli nie zostaną przeprowadzone zasadnicze zmiany. Nie wiadomo jednak czy chce on wzmocnić Rosję sowiecką reformując komunizm, czy wzmocnić tenże komunizm (w rękawiczkach) likwidując.

Takie pytanie zadaje sobie — między innymi — wybitny dziennikarz polityczny francuski Jan d'Ormesson, którego cytuję, bo jego wizja sowieckiej rzeczywistości zdaje mi się bardzo kontrowersyjna. Wychodzi on bowiem z założenia — niestety nie bez słuszności — że Rosja, tak carska, jak komunistyczna jak pokomunistyczna — jako państwo *par excellence* imperialistyczne — jest wrogiem Zachodu od początku swego istnienia i jako taka tym bardziej niebezpieczna im jest silniejsza. W swej logice zgadza się nawet z tezą, że komunizm panujący w Sowietach pomógł Zachodowi, bo bez niego Rosja byłaby dzisiaj dużo silniejszą, a więc bardziej dla Zachodu niebezpieczną niż jest nią dzisiaj. Jeśli więc Gorbaczow swymi reformami Rosję sowiecką wzmocni, to współczesne nam drugie mocarstwo świata stanie się dla nas jeszcze bardziej niebezpieczne, bo „przeciwnik inteligentny jest zawsze bardziej niebezpieczny niż tęp stary, który do tej pory Rosję rządził”.

A więc: reformator czy likwidator? Moim zdaniem jeśli Gorbaczow chce Rosję tylko reformować, to już przegrał, bo marksizm jest ideą — dla pewnej kategorii

marzycieli — może nawet wspała, ale w pełni nieżywcowa, już od trzech pokoleń, nie zdał egzaminu żywego, mimo że był w bardzo wielu odmianach próbowa-

ny. Jeśli z kolei dzisiejszy władca Kremla chce komunizm likwidować, to albo przewróci się na Nomenklaturze (i przyjdzie po nim, prawem reakcji, taki czy inny neostalinizm), albo wygra i wtedy Rosja stanie się dużo silniejsza niż jest nią dzisiaj.

Wracając do J. d'Ormesson, ten wybitny dziennikarz woła w konkluzji o łączenie się zachodniej Europy (i Ameryki), w obawie przed starciem (militarnym?) którego Zachód się boi.

Nie sądzę, by bojaźń była najlepszą drogą do likwidacji tak komunizmu jak imperializmu rosyjskiego choćby dlatego, że strach nie jest wystarczającym cementem nawet dla obrony a tym bardziej dla wygranej. Droga zdaje mi się inna. Trzeba, po pierwsze, być do tego stopnia psychicznie i materialnie gotowymi do rozgrywki, by potencjalny przeciwnik (dzisiaj komunizm jutro islam) zdał sobie sprawę, że konflikt prowadzi do nikąd. Trzeba z kolei z defensywy żywio- nym strachem przejść w ofensywę żywioną przekonaniem, że tak my jak Rosja stoimy w obliczu nowych problemów, które wspólnie już „jutro”, to znaczy w XXI-ym wieku, będziemy musieli rozwiązywać. Myślę tu w pierwszym rzędzie o Chinach, którym — po wyjściu z dzisiejszego marazmu, po dwutyścinnej śpiączce — może się przysnąć panowanie nad światem

tak jak śniło się Grekom, Rzymianom, Hiszpanom, Francuzom, Niemcom, Amerykanom i Rosjanom...

Myślę z kolei o wojującym islamie, dla którego tak my jak i Rosjanie są tworam szatana, które trzeba zniszczyć (a wszyscy wiemy jaką siłę, przy dzisiejszej technice, przedstawia energia terroryzmu).

Myślę wreszcie o problemie numer jeden XXI-go wieku, jakim stał się, już na naszych oczach, konflikt między bogatą Północą a biednym Południem, konflikt podsycony eksplozją demograficzną Południa. Niesprawiedliwość społeczna i nierówny rozdział dóbr materialnych XIX-go wieku były w Europie kolebką dla komunizmu. Dzisiejsze różnice w rozwoju i dobrobycie między krajami bogatymi a biednymi są bez wątpienia kolebką rewolucji o wymiarach planetarnych, jeśli współczesne mocarstwa (północna Ameryka, Rosja sowiecka, mała Europa i Japonia) nie znajdą sposobów należytego ich rozwiązania.

Jeśli Gorbaczow rzeczywiście zrozumiał, że komunizm nie jest drogą polepszenia bytu ludzkości, to wcale nie jest wykluczone, że już widzi, czy jutro ujrzy, że w XXI-ym wieku staniemy wspólnie przed problemami, od których właściwego rozwiązania zależy nasza wspólna przyszłość. Wówczas z pozycji konfliktowych (które nie poza zniszczeniem żadnemu partnerowi nie mogą przynieść) przejdziemy na pozycje współpracy i to

(DOKOŃCZENIE OBOK)

STEFAN MARCINKOWSKI

NIE KOŃCZĄCY SIĘ TEMAT

MORZE atramentu czy czarnej farby zużyto na omawianie problemu zjednoczenia Niemiec. Tymczasem problem pozostaje nierozwiązany, a pytanie czy w najbliższej przyszłości będzie możliwe do załatwienia pozostaje bez odpowiedzi. Ostatnio pojawił się głos człowieka znanego, wpływowego, który stara się wykazać, że jest droga, która być może mogłaby doprowadzić do rozwiązania zagadnienia przy dobrej woli i wzajemnych ustępstwach stron zainteresowanych. To oczywiście wymaga czasu, daje jednak iskierkę nadziei.

We *Frankfurter Allgemeine Zeitung* z 22.6.1986 ukazał się artykuł pt. „Sondowanie opinii co do możliwości zjednoczenia Niemiec”. Oto jego treść: W maju 1986 odbyła się w Londynie konferencja członków Fundacji K. Adenauera z Niemiec Zachodnich i Królewskiego Instytutu dla Spraw Międzynarodowych z Anglii. Tematem rozmów był problem niemiecki. Prawie na wstępie wywiązała się gwałtowna dyskusja. Spowodowały ją słowa Ottfrieda Henniga, sekretarza w ministerstwie spraw wewnętrzno-niemieckich (jest on także wiceprezesem Ziomkostwa Wschodnio-pruskiego). Mówił on o marzeniu Niemców co do zjednoczenia ich ojczyzny w Europie, otwartych granic w procesie integracji. Anglicy poprosili natychmiast o dowód na to, że Niemcy Wschodni pragną zjednoczenia. Dalej zapytano go co do ostatecznego uznania zachodnich granic Polski, wiążącego tak Federalną Republikę Niemiec jak i przyszłe zjednoczone Niemcy. Chciano też wiedzieć, czy Bonn widzi jakiegokolwiek szanse, że Moskwa przychyli się do idei zjednoczenia Niemiec. W jaki sposób Niemcy wyobrażają sobie to zjednoczenie. Darnie były te pytania. Hennig miał tylko jedną odpowiedź. Zjednoczona Europa i w niej zjednoczone Niemcy. A Europa jaka?

R. Morgan, członek Królewskiego Instytutu stwierdził, że jego zdaniem problem niemiecki może być rozwiązany jedynie w ramach ogólnej ugody Wschód-Zachód. Stwierdzono ponadto, że nie ma zachodnio-europejskiej polityki odnośnie Niemiec, a także że problem niemiecki nie ma pierwszeństwa w Europejskiej Wspólnocie Gospodarczej. Oświadczone również, że

zjednoczenie na zasadach ustroju komunistycznego jest nie do przyjęcia dla Niemiec Zachodnich i Zachodu, a na zasadach demokratycznych nie do przyjęcia przez Wschód. Tak samo żadna ze stron nie jest zainteresowana w neutralności Niemiec. Przypomniano także, że Adenauer był kiedyś za rozwiązaniem na wzór Austrii, że Strauss w latach 1960 nie wierzył w przywrócenie państwa narodowego, a nawet Kohl był przeciwny przywróceniu państwa w stylu Bismarcka. Spotkanie skończyło się omówieniem ogólnych zasad. Nie powiedziano nic, jak zjednoczenie ma być osiągnięte. Pozostało więc wszystko bez zmian.

Toteż 30.4.1987 kanclerz Kohl na uroczystościach 750-lecia Berlina zapowiedział walkę o zjednoczenie Niemiec. Oto jego słowa:

„Narzucony podział Berlina, Niemiec i całej Europy nie przetrwa próby historii. Jedność, sprawiedliwość i wolność dla naszej niemieckiej ojczyzny i jej starej stolicy to cele, którym poświęcimy cały nasz wysiłek”.

Der Schlesier, organ Ziomkostwa Śląskiego w wydaniu z 15.5.1987, zapowiadając doroczny zjazd w Hanowerze na 20/21.6.1987 pod hasłem „z nami o przyszłość Śląska” umieścił artykuł pt. „Zjednoczenie jest rzeczą najważniejszą”. Strauss, biorący udział w zjeździe w swym przemówieniu oświadczył, że szanse na zjednoczenie Niemiec widzi w ewolucji sytuacji w Związku Sowieckim pod rządami Gorbaczowa, która odbierze Moskwie charakter agresywnego supermocarstwa. Strauss był owacyjnie witany. Poseł z CDU zapewniając o pokojowych zamiarach wysiedleńców oświadczył, że zasłużyli oni na Pokojową Nagrodę Nobla. Rok 1945 nie rozwiązał kwestii niemieckiej — jest ona otwarta podobnie jak kwestia Śląska. Wspomniany na wstępie O. Hennig oświadczył: „kto głosi, że zjednoczenie Niemiec objąć może tylko Republikę Federalną i Niemcy Wschodnie... ten źle strzeże interesów wszystkich Niemców. A dobro innych? „*Die Welt* z 29.6.1987 umieścił wywiad z premierem Francji J. Chirac, który oświadczył, że dla Francji zachodnia granica Polski na Odrze i Nysie jest raz na zawsze ustalona. To stwierdzenie spowodowane zostało sugestią redaktora *Die Welt*, że oprócz Niemiec Zachodnich i Wschodnich istnieje jeszcze trzecia część Niemiec: „obszary za Odrą i Nysą”.

Ostatnio usłyszeliśmy coś nowego. Rewelacja jak na wszystkie dotąd wypowiedzi. Skutki tego okaże przyszłość. *Der Deutsch Amerikaner*, organ Niemiecko-Amerykańskiego Kongresu za lipiec 1987 przedrukował z tygodnika *Die Zeit* artykuł z 26.6.1987, napisany przed red. Theo Sommera. Tytuł: „Jedność zamienić na wolność. Zarys nowej polityki odnośnie Niemiec. Musimy być rzetelnymi”. Oto najważniejsze wyjątki z wypowiedzi red. Sommera: „... Stajemy się nerwowi. Wszak nie ma innego wyjaśnienia co do wrażliwego sposobu, w jaki pewna ilość Niemców Zachodnich zareagowała na przemówienie w Bundestagu prof. Fritz Sterna, amerykańskiego historyka pochodzenia niemieckiego. Nawiązując do wypadków, które zaistniały 17.6.1953 w Niemczech Wschodnich Stern zauważył, że „to nie było powstanie w imię zjednoczenia”, Stern ma rację. Robotnicy we

Wschodnim Berlinie wołali „Precz z Ulbrichtem”, a nie „chcemy Adenauera”. „Dlaczego pomniejszać powagę ich działalności?” Oni wypowiedzieli się za wolnością, nie za niemiecką jednością. Pochodzę z Niemiec, które już nie istnieją i nie będą więcej istniały. Czyż nie jest już czas abyśmy zaczęli doceniać ten fakt? „Stern dodał i inną gorzką prawdę. „Niepodzielone Niemcy przyniosły nie do opisania nieszczęście dla innych ludzi, a także dla nich samych”... „Nie jest prawdą, że inne narody pragną zjednoczenia Niemiec. To, co my uważamy za przyjemne marzenie, jest uważane przez naszych sąsiadów na wschodzie i na zachodzie jako mara nocna. Oni już teraz martwią się hegemonią Niemiec Zachodnich w dziedzinie ekonomicznej. Dlaczego oni mają być przekonani, że niemiecka jedność ma być jedyną gwarancją pokoju w Europie? Na pewno nie, jako rezultat historycznego doświadczenia”... Amerykański historyk David Calleo idzie tak daleko, że utrzymuje, iż „kiedykolwiek Niemcy byli w jednym państwie stawali się groźbą dla siebie samych i dla innych”. Zjednoczenie 2 państw niemieckich w każdym wypadku przyniosłoby największą do pomyślenia zmianę w układzie sił. Nikt z zewnątrz nie zamierza dokonać takiego ryzyka... Oczywiście ktokolwiek słyszy żądania niemieckich nacjonalistów takie jak „Śląsk jest nasz”, albo „Tereny nad Odrą-Nysą nie są jeszcze zapomniane”, nie może wykluczyć możliwości, że zjednoczenie Niemiec Zachodnich i Wschodnich będzie służyło jedynie jako dopisek do rewizjonistycznych planów... Nigdy nie myśleliśmy o tym, że pewnego dnia będziemy musieli wybrać między naszymi zobowiązaniami wobec Zachodu, a naszymi narodowymi aspiracjami... Dziś powinniśmy zrozumieć, że pokój w Europie istnieje raczej na zasadzie podziału Niemiec, a nie na zasadzie ich zjednoczenia... W pierwszych latach Federalna Republika Niemiec widziała zjednoczenie jako naczelną zasadę w prowadzeniu swej polityki. Od 1969 nie prowadzimy polityki zjednoczeniowej ze względu na ludzi po obu stronach. Czyż nie jest już czas, by nadać tej polityce miano ostatecznej? Słowa W. Liebknechta mogą służyć za motto: *Einigung, nicht Vereinigung*. Jedność, nie zjednoczenie... W Bonn często powołują się na słowa prezydenta R. von Weizsäckera. „Problem niemiecki tak długo pozostaje otwartym, dopóki Brama Brandenburska jest zamknięta”. Odwróćmy tę logikę i zróbmy ją przewodnią zasadą przyszłej polityki Niemiec. Jeśli Brama Brandenburska (i granica między Niemcami Zachodnimi i Wschodnimi) będą otwarte, wówczas problem niemiecki będzie zamknięty. Nie jest rzeczą konieczną, by wszyscy Niemcy żyli pod jednym dachem jednego państwa... Tak jak my Niemcy w Niemczech Zachodnich uważamy wolność za więcej znaczącą niż jedność, powinniśmy uczynić to samo dla 17 milionów Niemców w Niemczech Wschodnich... Ta postawa nie jest poparta przeważającą interpretacją przepisów zachodnio-niemieckiej konstytucji, ani też wyrokiem Trybunału Konstytucyjnego, co do Układu między Niemcami Zachodnimi a Wschodnimi, podpisanego w 1972 r. Bez względu na wstęp do Konstytucji, naszym politycznym celem musi być stworzenie

sytuacji, w której zjednoczenie nie będzie już konieczne. W takim wypadku Konstytucja może być odpowiednio zmieniona... Friedrich Schiller (znany poeta — mój dopisek S. M.) 190 lat temu napisał: „Rzecz niemiecka i naród niemiecki to są dwie całkowicie różne rzeczy”. Niemiecka godność... żyje w kulturze i charakterze narodu, bez względu na polityczny los. Bądźmy pewni, że możemy to powiedzieć z naszymi głowami, trzymanymi wysoko, w pokojowo podzielonych Niemczech”. Tyle Theo Sommer w swym rewelacyjnym artykule.

Przypadkowo, krótkie i ogólne wyjaśnienie, co to były te inne podzielone Niemcy znajdujemy w artykule, jaki się ukazał w *Chicago Tribune* z 8.7.1987, napisanym przez znanego publicystę W. Pfaff'a. „Całe Niemcy przypuszczalnie były zjednoczone na krótkie i katastrofalne 7 dekad, które się skończyły w spustoszeniu

„Roku Zero” 1945. Jednak przed Bismarckiem była tam kulturalna jedność z uniwersytetami, literaturą i życiem intelektualnym, wspólną muzyką, ze swobodnym podróżowaniem poprzez niemieckie państwa, kraje i księstwa. Dziś to oczywiście przeminęło.

Artykuł T. Sommera jest rzeczywiście znamieny. Czy wywoła jakąś reakcję? Z nie tylko polskiego punktu widzenia ma jednak chociażby ten mankament. Polska, Czechosłowacja, Węgry, Rumunia, Bułgaria znajdują się w tej samej sytuacji, co Niemcy Wschodnie. Nie ma wyjątków. Całość wymaga załatwienia, a stanie się to chyba dopiero w ramach ogólnego porozumienia Wschód-Zachód. Obecna sytuacja zdaje się sprzyjać temu. Ale problem jest zbyt skomplikowany. Wymagał będzie czasu na uregulowanie, jeśli w ogóle będzie wzięty przez właściwe strony pod rozwagę.

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

ODLOT PRZYJACIELA

DNIA 29-go kwietnia wyczytałem w gazecie smutną dla mnie wiadomość o odmeldowaniu się z tego świata Stanisława Lasockiego.

Dlaczego w tytule „Odlot”? Był Staś Lasocki w duchu i temperamencie lotnikiem. Szybki w decyzjach i w działaniu, nie bał się ryzyka, o ile nie narażało innych. Nosił mundur lotnika z czego był dumny, a ze sprawami powietrza był otrzaskany, gdyż przez lat kilka pracował w Polskich Liniach Lotniczych LOT.

Poza tym zawsze patrzył w górę i przed siebie, a więc i teraz „tam” w górę powędrował i na nas stamtąd z wyrozumieniem patrzy.

Wiadomość o jego odejściu zmąciła we mnie głębokie osady wspomnień z lat już dość dawnych. Stasia Lasockiego, pseudonim LOS, poznałem z początkiem grudnia 1944 r. Wtedy to odbyło się pamiętne dla nas spotkanie, nas z Dywizji Pancerniej gen. Maczka, w pełnej akcji bojowej na terenie Holandii ze wspaniałą i imponującą nam siecią wywiadu polsko-francuskiego „F2”, którą wtedy kierował mój brat Wincenty Rozwadowski, pseudonim „Pascal”, wraz ze Stasiem Lasockim, pseudonim „Los”. Między nami, liniowymi polskimi żołnierzami, a członkami polskiego wywiadu w okupowanej Francji wywiązała się atmosfera wzajemnej adoracji. — Oni podziwiali nas za nasze mundury (choć olejami i smarami poplamione), czolgi i akcje, a my ich cichą i bohaterką i mrówczą pracę przygotowania terenu dla wielkiej akcji uwolnienia Europy od szarańczy hitlerowskiej. Zaproszeni przez „F2”, z czarnymi naramiennikami (odznaką 1-ej Dywizji) przyjechaliśmy do Paryża, gdzie było mi danym spotkać Stasia i cały polsko-francuski sztab „F2”. Wtedy to dowiedziałem się wiele o Stasiu, legendarnym „Losie”, o jego działalności i dynamicznym charakterze. Był zawsze pierwszym do czynu jak i też do „zalania” sukcesów... Nie ma tu niestety miejsca na opisanie szczegółów ich działań, niebezpieczeństw i przygód, które były liczne.

Z wybuchem wojny w r. 1939 popędził Staś do Polski, a po polskiej katastrofie wrześniowej wrócił do Francji, gdzie został zwiadowcą w 1-szej Polskiej Dywizji Grenadierów, a po jej roz-

wiązaniu dołączył do pracy podziemnej.

Jedną z cech Stasia była jego dwunarodowość, a mianowicie polska i francuska, gdyż ojciec Henri Georges Lasocki był już Francuzem, z rodziny, która do Francji wyemigrowała po powstaniu listopadowym. Ojciec Stanisława utrzymywał bliskie stosunki z Polską i polską rodziną, ożenił się z Polką, Marią Rzewuską, a po zakończeniu 1-ej wojny światowej, po roku 1918 był mianowany jednym z pierwszych konsulów Rzeczypospolitej Polskiej we Francji. Dzięki temu czuł się Staś Lasocki równie swobodnie w Polsce i we Francji, wśród Francuzów i wśród Polaków. Był więc idealnie wyposażony, aby dla sprawy Polski działać na terenie Francji i kierować polsko-francuską organizacją wywiadu.

Na temat pracy organizacji „F2” w czasie okupacji Francji wiele by można napisać i wiele już napisano, a należy tu jedynie podkreślić, że ludzie ci żyli w atmosferze ciągłego niebezpieczeństwa aresztowania przez wszechobecne Gestapo; a aresztowanie było jednoznaczne z przesłuchaniami i najstraszniejszymi torturami, którym nieliczni jedynie umieli się oprzeć. W działalności tej były także zaangażowane rodziny, a więc żona Stasia, Francuzka, Anne-Marie Bertin, ps. „Annie”, także była tu czynna.

Bohaterska epoka wojny dobiegła końca i Staś wbrew powszechnym tendencjom wracał do Polski czy też pozostawania w Anglii lub Francji, zdecydował się na teren nowy, a mianowicie Południową Amerykę, gdzie stał się pionierem transportu samochodowo-drogowego, zanim po wielu tarapatach i przygodach wyładował wraz z rodziną w Kalifornii.

Mimo pewnych atrakcji amerykańskich Europa miała jednak wpływ magnetyczny na Stasia i jego żonę, wobec czego po dojeździe do wieku emerytalnego cała rodzina wróciła do Francji i Stasiowie Lasocki osiedlili się w słonecznej Prowansji, gdzie Staś żył do końca. Zmarł 28 kwietnia 1987 r. w wieku 77 lat w Rochemance, a obecnie ze swojego wzgórza, wśród drzew migdałowych, patrzy na płynące wody Rodanu.

FRANCISZEK
J. ROZWADOWSKI

REFORMATOR CZY...

realnej, bo dobru obydwu stron służącym.

Tę samą drogę — zdaje mi się — wybrał Jan Paweł II, gdy próbuje, poprzez zbliżanie trzech nurtów chrześcijańskich stworzyć moralną siłę znośną żelazną i ideową kurtynę, dzielącą dzisiejszą Europę. Wskazuje on równocześnie, że idea miłości — a co najmniej wzajemnego szacunku dla każdej istoty ludzkiej i dla każdego narodu — jest silniejsza, a więc bardziej owocna, niż egoizm, strach i nienawiść.

W konkluzji trzeba podkreślić, że każda z tych dwóch dróg ewolucji Rosji sowieckiej jest możliwa, zatem na każdą z nich winniśmy być psychicznie i intelektualnie przygotowani. Nie mając najmniejszego wpływu na jej przebieg, musimy trzymać rękę na pulsie wydarzeń, by je rozumieć i na nie, w razie potrzeby, jak należy reagować.

ST. KOZANECKI

JAN JACEK NIKISCH

„BIEDNI POLACY PATRZĄ NA GETTO”

CZYTELNIKOM naszym znana jest dyskusja, jaka na początku tego roku toczyła się na łamach krakowskiego „Tygodnika Polskiego” na temat stosunków polsko-żydowskich i rzekomej współodpowiedzialności narodu polskiego za Zagładę (Holocaust). Poniżej drukujemy artykuł mec. Jana Jacka Nikischa, który w „TP” się nie ukazał. Czynimy to bez wiedzy i zgody Autora.

REDAKCJA

PRZECZYTAWSZY w Tygodniku Powszechnym (nr 2/87) artykuł Jana Błońskiego pod powyższym tytułem zastanawiałem się, do jakiego rodzaju formy literackiej artykuł ten można zaliczyć? Wydaje mi się, że najbliższy jest formie moralitetu, i tak go będę w dalszym ciągu nazywał.

Jan Błoński powołując się na wypowiedzi Czesława Miłosza wydane zagranicą i mnie niedostępne, wzywa czytelników do oczyszczenia rodzimej t.j. polskiej ziemi, która jest „obciążona, skrwawiona, zbeszczeszczona”. Zdaniem autora rodzima polska krew przelana nie bezceści polskiej ziemi, tylko „cudza”. Miłosz „... myśli o krwi żydowskiej, o ludobójstwie, którego naród polski nie jest winien, które dokonało się na tej ziemi i tę ziemię jakoś (moje podkreślenie) na wiek wieków naznaczyło...”. Trudna jest do zrozumienia poetycka mitologia Miłosza przypisująca krwi żydowskiej moc bezczeszczenia i zbrukanie polskiej ziemi w przeciwstawieniu do krwi polskiej przez tego samego zbrodniarza przelanej.

Ojciec św. Jan Paweł II modlił się w Oświęcimiu przy tablicach ofiar należących do osiemnastu narodów, które padły ofiarą ludobójstwa na ziemi polskiej. Dla Jana Błońskiego krew innych narodów nie istnieje, nie posiada żadnej mocy ani uświęcającej ani bezczeszczonej ziemi polską. Użycie przez autora w dalszym ciągu określeń pejoratywnych nie uzasadnionych logiką treści służy końcowym wnioskom, do których konsekwentnie zmierza.

Dlatego wzywa do oczyszczenia pola Kaina, którym jest ziemia polska, i do pamięci o Abli. Stąd oczywista sugestia, że Kaimem jest naród polski, któremu w pierwszych zdaniach nie przypisywał winy zagłady żydów. Musimy zatem nas samych oczyścić, bo krew Abli wsiąkała w ziemię, w domy, w nas samych. Błoński powołuje się na wieszczę Miłosza, który „... uratował honor poezji pol-

skiej...” pisząc wiersz o karuzeli pod murami getta.

Autorowi to nie wystarczy, gdyż — zdaniem jego — „... nie możemy sobie poradzić z rozważaniem całej żydowsko-polskiej przeszłości...”. Pomaga zatem nam Polakom powołując się na rozmowy swoje z anonimowymi rozmówcami dla czytelnika autorytatywnymi, bo rozmowy były prowadzone na zachodzie Europy. Rozmówcy wyliczają zarzuty antysemityzmu polskiego w ciągu wieków aż do Lanzmanna włącznie, przeciwko którym autor próbuje bez przekonania bronić Polaków. Te same zarzuty spotykają go ze strony również anonimowych historyków i pamiętnikarzy Zagłady.

W końcu Jan Błoński cytuje wiersz Miłosza p.t. „Biedni Polacy patrzą na getto”, który sam — jak przyznaje — uzupełnia i komentuje. Na kanwie tego wiersza prowadzi „fikcyjną rozmowę” ze stworzonym przez siebie „syntetycznym Polakiem”, potrzebny mu — jak wynika z dalszego tekstu — do uzasadnienia końcowych wniosków. Tego syntetycznego Polaka zaprogramował na treść rozmowy z sobą wyliczającej winy Polaków. Zakodował mu szereg haseł, jak troska o dobre imię naszego kraju i narodu, „co inni o nas pomyślą”, a w końcu zaszczerpił łękiem poczucia winy, do jakiej nie chcemy się przyznać, łękiem przed potępieniem, łękiem, by nas nie policzono między morderców. W końcu wyliczywszy jeszcze raz syntetycznemu Polakowi winy narodu polskiego wobec Żydów autor, który jest pośrednikiem między polskim Kainem a żydowskim Ablem — jak posłaniec bogów w tragedii — przynosi Kainowi żądanie Abli: „Powiedźcie więc tylko, że w tym, co się stało, nie było naszej winy. Niczego nie chcemy. Ale z tego przyznania nie możemy zrezygnować”.

Czyżby z kolei lęk Abli przed przypisaniem mu winy? Wobec tego

NADESLANE Z KRAJU

autor wzywa Kainów: „Powinniśmy jednak najpierw wyznać naszą winę i prosić o przebaczenie.” To my w wypowiedzi autora jest tylko stylistyczne, on bowiem zdystansował się od „syntetycznego Polaka” będąc jego twórcą.

Tyle w skrócie o moralitecie Jana Błońskiego.

Polemizując z kimkolwiek staram się zrozumieć, dlaczego jego tok myślenia, jego reakcje emocjonalne różnią się od moich? O Janie Błońskim nic nie wiem ponad to, co wyczytałem w książce „Kto jest kto w Polsce”. Wiem, iż dzieli nas różnica 21 lat wieku, że po wojnie rozpoczął naukę, studia i wspaniałą karierę naukową w kraju i zagranicą.

Gdy zaczęła się wojna Jaś Błoński miał 8 lat, gdy ginęło getto 12 lat, gdy walczyła i płonęła Warszawa 13 lat. Nie wiem, co przeżywał w międzyczasie? Czy widział mury getta, czy zna je tylko z wiersza Miłosza? Czy dzielił tragiczny los dzieci polskich w Warszawie, na Zamojszczyźnie, czy w tysiącach innych miejsc na ziemi polskiej, gdzie ginęły dzieci, cierpiały, patrzyły na śmierć swych najbliższych?

Jego stosunek do tragedii Zagłady jest wyrazem godnego szacunku wysokiego poziomu moralnego. Na mnie jednak czyni wrażenie, że jest zbyt intelektualny z dystansem w przestrzeni i czasie. Nie znajduję w jego moralitecie echa osobistych doznań, które na dziecku pozostawia widok choćby cudzych cierpień. Zupełnie nie znajduję śladu choćby biernego uczestnictwa ówczesnego dziecka w tragedii przeżywanej przez naród, środowisko, rodzinę, najbliższych. One dla Jana Błońskiego nie istnieją. Np. wiersz Miłosza nie nasunął autorowi reminiscencji, że ci „Biedni Polacy” rok później sami walczyli w polskim getcie płonącej Warszawy, otoczonym niemieckimi dywizjami, bombardowanym lotnictwem, ostrzeliwanym ciężką artylerią. Nie przyszło na myśl, że w kanałach Warszawy ginął nie w poetyckiej fantazji Miłosz, lecz powstańcy warszawscy, że biedni Polacy dookoła Warszawy tak samo bezrad-

nie patrzyli na ginące i płonące polskie getto Warszawy.

Być może jest to poza pisarską autora lub dyscyplina uczonego oddzielająca tęzę tematu od osobistych odniesień, dla mnie niezrozumiała, gdyż należę do pokolenia, na którego barki spadł w głównej mierze ciężar odpowiedzialności za losy narodu. W innych przeto obracaliśmy się kręgach, inaczej przeżywaliśmy te lata również emocjonalnie i dzisiaj inny mamy do nich stosunek. Stąd brak nam wspólnego języka.

Tak się ułożyły moje osobiste losy, że lata okupacji spędzałem w Warszawie obcy w jej środowisku. Miałem tylko kilka znajomych rodzin, kontakty osobiste tylko związane z uczestnictwem w konspiracji. Nie miałem w Warszawie możliwości prowadzenia normalnego życia. Zdarzało mi się jednak kilka razy w ciągu tych lat, że wyjeżdżając poza Warszawę znalazłem się w towarzystwie, które z jakiejś okazji świątecznej czy rodzinnej bawiło się. Początkowo oburzało mnie to, ale potem wciągnąłem się w atmosferę odprężenia. Wiedziałem, część uczestników potrafiło najbliższych w obozach, egzekucjach, czy kolegów w walce, że sami są również zaangażowani w konspirację i narażenie. W końcu zrozumiałem, że im silniejsze jest napięcie nerwów wywołane przeżyciami i zagrożeniem, tym silniej instynkt samozachowawczy organizmu wymaga odprężenia, aby się nie doprowadzić do szaleństwa, by wrócić do równowagi i pełnej sprawności psychicznej i nerwowej. Sam sobie sformułowałem wówczas diagnozę tego zjawiska, że instynkt życia silniejszy jest od patosu śmierci.

Dlatego rozumiem, że chłop polski orał pole koło obozu koncentracyjnego tak jak orał pole, na którym zginęli żołnierze polscy czy jego własna rodzina wymordowana w pacyfikacji, mieszkał w domu, którego ściany były zbryzgane krwią jego najbliższych. Instynkt życia był silniejszy i pozwolił narodowi polskiemu przetrwać piekło okupacji mimo, że zginęło ponad trzy miliony Polaków.

Israel Shehak w artykule „Normalność w nieludzkim świecie” (Aneks 41-42/1986) pisze:

„... Garton Ash i Lanzmann nie chcą zrozumieć postępowania tych, którzy usiłowali prowadzić „normalne” życie nie zważając jakoby na masowe zbrodnie popełnione wokół... Pomijają fakt, że wielu żydów zachowywało się dokładnie tak samo... Życie w getcie po wymordowaniu już większości w 1942 r. ... powróciło do jakiejś „normalności”, grało się w karty, urzędowało towarzyskie spotkania, czy wymyślano rozrywki kulturalne. To samo obserwowałem w obozie Bergen Belsen...”

Wyjaśnienie tego fenomenu jest proste: prócz kilku chwil „w obliczu śmierci” ustala się niemal w każdych warunkach rodzaj „normalności”. Nie twierdząc, że świadkowie tego horroru Żydzi czy Polacy nie cierpieli z tego powodu, czy nie odczuwali współczucia. Po to, żeby żyć, musieli wracać do stanu normalności, w którym cierpienia innych przestają być obsesją pochłaniającą całe życie.

... Lanzmann po prostu słyszał, co chciał, że Polacy są tacy a tacy. Nie chciał wysłuchać, że jedni i drudzy (i inne narody) zachowują się mniej więcej w ten sam sposób w podobnych okolicznościach i muszą

się tak zachowywać, by dalej żyć.

... Moja pamięć (i innych ocalałych Żydów) nie pozwala zapomnieć, że my Żydzi nienawidzieliśmy żydowskich policjantów i żydowskich szpiegów bardziej niż kogo innego.

... Takie właśnie historie Lanzmann mógłby pokazać, gdyby nie był więźniem własnych uprzedzeń, a Garton Ash powinien być je znać. Ich próba znalezienia „tego co istotne” w polskiej sytuacji jest nieuczciwa i nieprawdziwa. Jest ona ponadto zarozumiała i rasistowska.”

Zaś Włodzimierz Gordon w swojej pracy „Sens historii i zagłada Żydów”. (Op. cit.) pisze:

Żydzi nie pojmują, że polski antysemityzm z Holocaustem nie miał nic wspólnego. Obojętność uważa się za współudział w zbrodni... Realizowany przez Niemców program z polskim antysemityzmem nie miał nic wspólnego...

... Do dzisiaj wielu Żydów chciałoby wierzyć, że od Zagłady był ratunek, a Żydzi zginęli, bo nie chciano ich ratować. Kto nie chciał? Oczywiście Polacy...

Cytowane powyżej głosy Żydów, którzy przeżyli getto i Zagładę pozwalają wnioskować, że nie tylko Lanzmann jest więźniem własnych uprzedzeń.

W czasie okupacji naród polski żył w kręgu dantejskiego piekła. Niewątpliwie jednak najbliższym kręgiem piekła okupacji było getto w Warszawie i to widziane oczami wielkiego patrioty żydowskiego Adama Czerniakowa. W swym Dzienniku getta warszawskiego Czerniaków, poniżany i terrorizowany przez Niemców, opluwany i denuncjowany przez własnych rodaków nie skarżył się na wrogi stosunek narodu polskiego do Żydów. Sam miał częste urzędowe kontakty z pracownikami polskimi Komisaryjnego Zarządu m. Warszawy i osobiste kontakty z Polakami, którzy docierali do getta oficjalnie czy nieoficjalnie.

W jednym miejscu skarży się (s. 298): „... ulicznicy polscy ciskają kamienie przez murki na Chłodną. Często zadawałem sobie pytanie, czy Polska to jest Mickiewicz i Słowacki, czy ten ulicznik. Prawda leży po środku...”

Dla Czerniakowa ci ulicznicy nie byli przedstawicielami narodu polskiego.

W dniu 28 czerwca 1942 r. odbyło się w getcie ostatnie posiedzenie gminy żydowskiej pod przewodnictwem Adama Czerniakowa odnotowane w jego dzienniku. Zachowała się relacja uczestnika tego posiedzenia prof. Ludwika Hirschfelda, który później został wyprowadzony z getta i przeżył jego zagładę:

... W czasie przerwy — była to niezapomniana chwila — rozległa się muzyka fortepianowa, wiązanka preludii Chopina przeplatana akordami „Jeszcze Polska nie zginęła”. Żydom zabroniono grać muzyków nieżydowskich. fakt grania Chopina na oficjalnym posiedzeniu posiadał swoją wymowę. Ale pragnąłbym przekazać potomności również, że na tym ostatnim posiedzeniu gminy grano „Jeszcze Polska nie zginęła”. Za tę pieśń i artysta i prezes i większość obecnych mogła iść do obozu koncentracyjnego. Ale mogę zapewnić, że u nikogo z obecnych nie wyczuwałem w oczach obawy — przeciwnie, pieśń ta była wyrazem nadziei i wdzięczności. (s. 293).

LISTY DO REDAKCJI

WSPOMNIENIA Z LAT OKUPACJI

Szanowny Panie Redaktorze!

Opublikowane w „Myśli” wspomnienia Józefa Baranieckiego o prezese Bieleckim na pewno pozostaną jako materiał dla przyszłych historyków. Z tego powodu, a nie z jakiegoś „besserwisserstwa”, chciałbym uzupełnić jego pamięć swoję pamięcią w pewnych szczegółach.

1. Adolf Nowaczyński, dramaturg, biograf, nowelista i satyryk pisywał do prasy narodowej ale nie był członkiem, a tym bardziej działaczem Stronnictwa Narodowego.

2. W pierwotnym składzie Komitetu S.N. we Francji (1940) był także Józef Jakubowski.

3. Nie wiem skąd powstała legenda, że odpłynąłem z Francji łodzią podwodną. Odpłynąłem kutrem „ewakuacyjnym” dowodzonym przez kpt. Buchowskiego. Opisałem to w felietonie umieszczonym w londyńskich „Wiadomościach” z okazji śmierci gen. Juliusza Kleeberga. Byłem w sztabie gen. Kleeberga we Francji kierownikiem prasy. Kiedy moja, jak się dziś mówi, „poligrafia” wpadła, musiałem się schować, o czym zawiadomiłem zaraz Kleeberga.

Nie miał on jednak następnie udziału w mojej „ewakuacji”. Wyjazd zarówno jego jak mój zorganizował szef wywiadu alianckiego, mój przyjaciel i sympatyk Stronnictwa, Leon Sliwiński. Z gen. Kleebergiem spotkałem się w Nicei przed odjazdem a rozstałem w Gibraltarze, gdzie go od razu wysłano do Londynu, a ja czekałem dłuższy czas na transport i okrężną drogą po wielu tygodniach dotarłem do Londynu. Nikt więc nie mógł mieć pretensji do Kleeberga, że mnie „przywiózł do Anglii”, a już najmniej generał Sikorski, który po moim przybyciu do Londynu przez swego sekretarza a mego dobrego znajomego, Adama Kulakowskiego zaproponował mi objęcie kierownictwa tzw. akcji kontynentalnej na miejsce J. Librachy. Zapytałem wtedy Adama, czy wie, że jestem członkiem Stronnictwa Narodowego. Odpowiedział: „Naturalnie, ale chyba nie podzielasz stanowiska Bieleckiego”. „Podzielał jak najbardziej”, odpowiedziałem. Zjedliśmy resztę obiadu prawie w milczeniu. Najwidoczniej więc w najbliższym otoczeniu Sikorskiego nie wiedzano o mojej „polityce” zbyt wiele.

4. Nawrot, Mieczysław nie Tadeusz, był istotnie studentem politechniki warszawskiej, Julek Nowakowski był studentem SGGW. Rzeczywiście po drodze wpadli w Austrii, ale wydostali się szybko, przeszli na Węgry i dotarli, obaj, do Warszawy. Nawrot stamtąd, nie mogłem dojść z czyjego polecenia, zawrócił na Węgry, by tam organizować łączność. Wszedł do placówki rządowej polskiej w Budapeszcie. Ta placówka w ostatnim roku wojny wpadła. Nawrot aresztowany i zesłany do kacetu w Austrii został tam stracony w bunkrze (o gazie nie słyszałem). Nowakowski został w Warszawie. Nie mógł brać udziału w obronie drukarni „Walki”, bo ta była dużo dawniej, wziął natomiast udział w akcji AK na Powązkach w początku r. 1944 i tam zginął. Muszę dodać, że byli to najdzielniejsi osobiste ludzkie, jakich zdarzyło mi się spotkać. Wyszli z Francji z pełną świadomością niebezpieczeństwa, na jakie się narażają.

Pozostaję z poważaniem,

WOJCIECH WASIUTYŃSKI

Dnia 22 kwietnia
Rye, Nowy Jork.

ZYGMUNT CELICHOWSKI

UWAGI NA TEMAT PRZYSZŁEGO USTROJU POLSKI

PONIŻEJ drukowany artykuł był przygotowany na Cennym Zjazd Stronnictwa Narodowego, który się odbył na początku czerwca br. w Londynie. Wraz z artykułami naszego stałego współpracownika R. L. Jasieńczyka Krajewskiego i Anny Marii Szymańskiej, którzy ujmują problemy współczesnej demokracji od innej strony, Czytelnicy znajdą (niewątpliwie) cenny materiał do przemyśleń.

REDAKCJA

* * *

MAMY obecnie w obiegu sporo słów rzekomo określających pewne pojęcia: lewica, prawica, komunizm, faszyzm, a specjalnie demokracja. Historycznie słowa te miały w swoim czasie uzasadnienie i ściśle ujmowały ich znaczenie i treść. Dzisiaj luźno operuje się słownictwem w dziedzinie zjawisk politycznych, co często prowadzi do absurdu i pomieszania pojęć: przykładowo laicka lewica. „Solidarność” — jaka? z kim? A to dziś bardzo modne — slogan używany przez radykalne społecznie związki zawodowe aż do ultra kapitalistycznych towarzystw ubezpieczeniowych. Słowo „demokracja” jest chyba najczęściej nadużywane i — modne. Bez przydomka demokratyczny każdy ruch polityczny jest z góry wyklęty. Mamy w polskim życiu politycznym „Stronnictwo Demokratyczne”, „N.I.D.” czyli niepodległość i demokracja, i historycznie wlokącą się za Stronnictwem Narodowym „endecję” — w rozumieniu wielu — wstecznictwo polityczne. Ale to nie polski monopol: w Kanadzie jest Partia Progresywno-Konserwatywna, ani konserwatywna ani postępową i Nowa Partia Demokratyczna, kiedy starej nigdy nie było. We Francji zamęt jest jeszcze większy, bo radykali wcale nie są radykalni. W Stanach Zjednoczonych pod pojęciem liberałów kryją się skrajni radykałowie, lub krypto-komuniści.

Oto parę luźnych uwag poprzedzających rozważania na temat wskazówek dla społeczeństwa w Kraju odnośnie przyszłego ustroju politycznego Państwa Polskiego. Unikam określenia „Rzeczpospolita Polska”, o pięknych tradycjach historycznych — i o mniej chlubnych tradycjach — „Polska Republika Ludowa”. Wątpliwe czy do tych pojęć się wróci. A że Państwo Polskie wróci na mapę polityczną świata — nie ma wątpliwości. Chodzi już teraz o to w jakiej formie ustrojowej — no — i aby jak najprędzej.

SUWERENNOŚĆ

Założyć należy, że Naród Polski odzyska pełną niepodległość polityczną w swoim Państwie suwerennym. Tutaj należy zrobić z góry zastrzeżenie. Czy w ogóle są jeszcze na świecie państwa całkowicie suwerenne? Co najmniej wątpliwe. Każdy związek państw polega na ograniczeniu suwerenności członków związku. Rosji suwerennej nie ma. Jest ona najsilniejszym partnerem w związku, ale nie wszechwładnym. Kanadyjczycy szanują swoją suwerenność przy każdej okazji, nieraz wprost śmiesznie, a w rzeczywistości kraj większy terytorialnie od Stanów Zjednoczonych ma tylko symboliczne siły zbrojne (ilościowo mniej więcej równe metropolitalnej policji w Nowym Jorku), z otwartą granicą na północy. Z drugiej strony Stany Zjednoczone z biegiem czasu uzależniają się w pewnym, ale bardzo istotnym, stopniu od Kanady niedostatkiem słodkiej wody użytkowej i energii elektrycznej. Zjednoczone Królestwo jest tak bezsilne, że nie potrafi rozwiązać palącej sprawy Północnej Irlandii, a cała „Commonwealth” jest fikcją.

Po pierwszej wojnie światowej odrodzone Państwo Polskie znalazło się pod przemożnym wpływem politycznym Francji. Ustrój polityczny wcale nie narzucony, a dobrowolnie przyjęty wzorował się przede wszystkim na Francji. Inaczej być nie mogło. Tradycje miały swe źródła w epoce napoleońskiej. Brak było ciągłości historycznej przerwanej w okresie rozbiorów, a Powstanie Listopadowe powiększyło zamęt w tym zakresie. Państwa zaborcze świeciły odstrasającym przykładem. Tradycje rodzenne polskich ruchów politycznych datujące się z poprzedniego stulecia były nieliczne i wątpliwe, niektóre — jak Polska Partia Socjalistyczna — mające źródła nie polskie. Stąd rozczłonkowanie i liczebność partii w Sejmie, nieraz efemerycznych, bez źródeł w Narodzie, a niektórych będących poza społeczeństwem polskim, a nawet wrogich Narodowi i Państwu Polskiemu, jak partie ukraińskie czy żydowskie.

Sytuacja ta doprowadziła do bezwładności władzy państwowej i spowodowała reakcję w formie zamachu stanu w 1926 roku, opartego o stosunkowo nieliczną grupę zawodowych oficerów. Wynikiem tego zamachu, niestety kosztownego w ofiarach życia najwartościowszych patriotów, była nieudolna a brutalna dyktatura Piłsudskiego, która w efekcie doprowadziła do katastrofy i upadku Państwa Polskiego w 1939 roku.

Po zakończeniu drugiej wojny światowej powstała pod egidą i wskutek przemocy Związku Sowieckiego Polska Republika Ludowa w nowych granicach, poszerzonych na zachodzie i północy, a poważnie okrojonych na wschodzie. „P.R.L.” jest formą Państwa Polskiego, zamieszkalego od przeszło 40 lat przez ogromną większość Narodu Polskiego, dla którego jest to niezbywalna ojczyzna. To Państwo Polskie ma ustrój narzucony przez Związek Socjalistycznych Sowieckich Republiki, od którego jest uzależnione politycznie, mimo pozorów niezależności w rozumieniu prawa międzynarodowego. Ten sam los dzieli szereg sąsiadów, włącznie z Niemiecką Republiką Demokratyczną. Szczęśliwie uniknęliśmy losu Litwy, Estonii i Łotwy, które zostały

wcielone do Związku Sowieckiego i przestały istnieć w rozumieniu prawa międzynarodowego.

O WŁASNY MODEL USTROJU

Dzisiaj już trzeba patrzeć w przyszłość i przygotować koncepcje formy ustrojowej jaką winien przyjąć Naród Polski dla swego Państwa kiedy nadejdzie chwila, że decyzyja w tej sprawie będzie należała do Narodu. Chwila taka może nadejść prędzej, niż można by się tego teraz spodziewać — nieoczekiwanie i nagle na skutek nieprzewidywanych dziś wypadków na arenie międzynarodowej, albo też być wynikiem postępujących zmian na świecie. Za życia naszego pokolenia już kilka razy otwierały się szanse na stworzenie właściwego ustroju naszego państwa: po pierwszej wojnie światowej, po śmierci Piłsudskiego, po drugiej wojnie światowej, wreszcie w roku 1980-tym. W tych momentach nigdy nie mieliśmy jasnego, czy jednolitego poglądu jaką formę prawną należy przyjąć dla naszego Państwa. Prawda, że zwykle sytuacja zewnętrzna przemocą narzucała rozwiązania dla Narodu niekorzystne. Ale przyznać też trzeba, że po śmierci Piłsudskiego nie było żadnej koncepcji ani też planu co ze smutnym spadkiem po dyktatorze zrobić. Podobnie w roku 1980-tym niespodziewanie otworzyły się perspektywy na zmiany. Ale i Naród i partia komunistyczna zostały zaskoczone wypadkami. „Solidarności” brak było przywództwa i planu co dalej robić, przy tym z miejsca nastąpiły wewnętrzne nieporozumienia i rozbiście jednoci działania przy braku rozumnego i skonsolidowanego przywództwa. Polska Partia Komunistyczna była w stanie wewnętrznego rozkładu, a jak dziś wiadomo — Związek Sowiecki nie pali się do zbrojnej interwencji. Rozumnie przygotowana akcja mogłaby w tym momencie doprowadzić do dalszego rozluźnienia nacisku sowieckiego i ułożenia stosunków, co najmniej na pewien okres, na warunkach dla Polski korzystniejszych. Stało się jednak coś nieoczekiwanego, a mianowicie polsko-sowiecka dyktatura wojskowa przejęła władzę podobnie do zamachu z roku 1926-go, szczęśliwie przy mniejszych stratach biologicznych dla narodu.

Odpowiedzialność za ten brak rozsądku politycznego ponosi cały Naród, włącznie z Ruchem Narodowym.

Jedyną koncepcją mającą sens polityczny był Obóz Wielkiej Polski, stworzony po 1926 roku. Niestety ideowy przywódca, jedyny polityk wielkiej miary ostatniego stulecia, Roman Dmowski, był już w tym okresie u kresu sił fizycznych. Wytworzyło się wewnętrzne rozbiście, nie tylko personalne, ale i koncepcyjne, rozczłonkowanie ideologiczne i taktyczne. Ten załomny stan rzeczy ciągnął się nawet w czasie okupacji w Polsce, a zżubne skutki rozbiścia do dziś odczuwamy.

Czas najważniejszy, i sprawa to paląca, żeby Ruch Narodowy, w kraju i poza krajem, zjednoczył się i zabrał się do przemyślenia form ustrojowych Przyszłej Polski. Tego za nas nikt inny nie zrobi. Kościół i Episkopat ma ogromne zasługi w tym, że walczył przeciwko niemu do przetrwania ideologicznego i fizycznego Narodu w najcięższym okresie. Ale nie jest funkcją ani zadaniem Kościoła budowanie podwalin ideologicznych i prawnych przyszłego Państwa Polskiego. Sprawy te należą do nas, poczuwających się do przynależności do Ruchu Narodowego, czy to ze starszego przedwojennego pokolenia, czy też rosnącego w kraju pokolenia powojennego. A sytuacja nie jest łatwa: wzory ustrojowe które widzimy na świecie nie pasują do Polski. Z drugiej strony młode pokolenie w Polsce ma bardzo ograniczone możliwości studiowania problemów konstytucyjnych.

Dziś w kraju stosunkowo duża ilość młodzieży ma otwarte okno na świat i przygląda się temu jak rządzą się wielkie mocarstwa, tak zwane „zachodnie”. Z podziwem patrzy na wielki dobrobyt materialny i, w wielu dziedzinach, postęp społeczny, naukowy i kulturalny. Za rzecz naturalną trzeba przyjąć, że młodzi szukają wzorów na Zachodzie, i często się słyszy wzdychanie, żeby to u nas były rządy podobne do Wielkiej Brytanii, czy Stanów Zjednoczonych, to wszystko byłoby dobre. A jednak, czy są to poglądy zbawienne i realne?

Ustrój państwa musi być dostosowany do realiów egzystencji, historii i psychologii narodu. Dlatego szukanie wzorów na Zachodzie i próby zastosowania ich w Polsce prawdopodobnie skończyłyby się katastrofą, jak to się stało po pierwszej wojnie światowej. Naokoło słyszy się bezmyślne powtarzanie frazesów o demokracji. A jak to z tymi rządami „demokratycznymi” jest naprawdę? Czy ten „demos”, czyli lud, naprawdę ma władzę?

Żyjąc poza Polską już zgrubsza pięćdziesiąt lat, miałem możliwość spojrzenia z bliska na ustrój Francji, Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Kanady, które formalnie jestem obywatelami. Oczywiście uwagi te nie mogą zmieścić studium ustrojowego wymienionych wyżej krajów, które w pewnym zakresie w pierwszym rzędzie mogłyby być wzorem dla przyszłego ustroju Polski. Z góry wykluczam takie możliwości. Historia tych krajów, ich tradycje, mentalność ludności, zasoby i możliwości materialne, a może w największej mierze położenie geograficzne, nie mając skali porównawczej w sytuacji Polski.

Wydaje się, że przyszła Polska, w której Naród będzie decydował o jej losach, oczywiście w ramach możliwości układu międzynarodowego, powinna mieć rząd silny i trwały w okresach kadencji pięciu do siedmiu lat. To założenie najbardziej ogólne wyklucza obecny system włoski, czy

francuski z okresu przed De Gaullem. Trudna to sprawa zdecydować w jaki sposób rząd, a właściwie szerzej, władze państwa, mają być powoływane i w czasie swej kadencji kontrolowane.

Obecnie Polska znajduje się w konstytucyjnej pustce. Podstawowe dyrektywy przychodzą z Moskwy, gdzie znajduje się rzeczywiste źródło władzy państwowej, pokrywane frazeologią i pozorami udającymi dość nieudolne funkcje rządu, Sejmu czy najwyższego, a często i niższego szczebla, sądownictwa. „Rządzący” generał już urzęduje w Belwederze, ale jeszcze nie mianował się marszałkiem. Jest to jakby „nowo-sanacja”.

MORALNE PODSTAWY

A jakież są moralne podstawy dzięki którym Naród przetrwał okropną katastrofę dziejową wojny i powojennego przewrotu społecznego? Oczywiście na pierwszym miejscu stoi Kościół Katolicki pod przewodnictwem Wielkiego Prymasa Wyszyńskiego i jego następców. Dalej siła moralna Narodu wywodząca się z jego tysiącletniej historii, zahartowana w ciągłej walce z wrogami nie tylko naszego Narodu i Państwa, ale i wrogami całej cywilizacji chrześcijańskiej. Przetrwał ten Naród najazdy mongolskie, tureckie, rosyjskie, obronił się przed potęgą zakonu krzyżackiego i potopu szwedzkiego z północy, w końcu wyszedł zwycięsko z próby unicestwienia Narodu przez największą potęgę materialną hitlerowskich Niemiec. Mimo pozorów stwierdzić należy, że naród Polski jest moralnie zdrowy i opiera się lepiej zepsuciu, które toczy Zachód. W Polsce kultura narkotyków nie zapuściła korzeni, terroryści i bandyci nie są bohaterami narodowymi, jak to często widzimy na Zachodzie i w krajach arabskich. Naród dzielnie i, jak dotąd, skutecznie, walczy z rozkładem moralnym — sam — wbrew przemocy. Tym niemniej siła psychiczna narodu jest nadwątlona okupacją hitlerowską i już przeszło czterdziestoletnią walką z sowietyzacją. Naród nasz jest młody i żywotny i — mimo zmęczenia — oceniać można, że stanie mu sił na odbudowę swego własnego Państwa na nowych podstawach. Do tego trzeba się przygotować planowo, by w chwili kiedy otworzy się możliwość zacząć odbudowę na zdrowych podstawach. Za daleko by nas zaprowadziło w tych rozważaniach odnoszących się do ustroju Państwa, wgłębianie się w sprawy ekonomiczne. Tym zająć się muszą specjaliści znający dokładnie obecną sytuację, niestety oplakaną, gospodarki narodowej i możliwości odbudowy. Będzie to możliwe dopiero w oparciu o zdrowe podstawy społeczne i ustrojowe. Tutaj widzę możliwości i obowiązki części Narodu żyjącej poza Polską, niezupełnie słusznie nazywanej „emigracją”, przemyślenia problemów ustrojowych i przygotowania pewnych sugestii dla kraju w tym zakresie.

Silna władza wykonawcza, czyli Rząd, musi opierać się na zaufaniu Narodu. Tu problem najważniejszy, podstawowy: jak Rząd winien być powoływany i kontrolowany, a w razie konieczności zmieniany w ciągu swojej kadencji.

Po pierwszej wojnie światowej wierzone święcie w powszechne wybory, wyłaniające parlament, Sejm i Senat, jako źródło władzy. W większości państw o ustroju t.zw. demokratycznym istnieje po prostu kult wyborów, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych. Stale tam kogoś wybierają, włącznie do lokalnych sędziów i policjantów. Amerykanie kochają się w wyborach i doprowadzili do tego, że — na przykład — wybory Prezydenta są trzystopniowe. A kto naprawdę wybiera? Partia polityczna? Klika? Mafia? Czy też po prostu pieniądze. Jako przykład służyć może ostatnio podana oficjalna wiadomość, że wybory Joseph Kennedy, juniora, syna Roberta, na delegata do Kongresu ze Stanu Massachusetts kosztowały 7.2 milionów dolarów. Kto wybrał Józia? Pieniądze rodziny Kennedych. A stryj jego Senator Edward nie siedzi w kryminale za zabójstwo sekretarki dzięki pieniądзом. W Kanadzie jest podobnie, tylko taniej, bo kraj mniej zamożny. W Wielkiej Brytanii są jeszcze dwa inne czynniki decydujące o wyborach parlamentarnych: związki zawodowe i tradycje historyczno-rodzinne. W Kanadzie nastąpiła degeneracja partii politycznych i po ostatnich wyborach w 1984-tym roku, Izba Gmin przypomina cyrk z kiepskimi klaunami. Krajem próbują rządzić jakieś mafie, mające korzenie w kartelach prasowych, przy pomocy t.zw. „polls”, stale ogłaszanych, rzekomo statystycznie otrzymywanych danych, o popularności czy partii czy członków rządu. Sprowadza to do absurdu koncepcję wyborów, bo niestety społeczeństwo ulega sugestiom opartym na sondażach telefonicznych około 500 osób — bez żadnej kontroli. Prasa zaś jest w rękach dość anonimowych „magnatów prasowych”, przez nikogo nie kontrolowanych. W parlamentach tych „wielkich demokracji” też dobrze się nie dzieje. Działają, zwykle oficjalnie, „grupy nacisku”, t.zw. „lobby”. W Stanach Zjednoczonych są one oficjalnie zarejestrowane i zawodowi naganiacze, bardzo często oplacani, „przekonują” posłów, by głosowali za taką czy inną ustawą, chyba że nie za darmo. Są więc „lobby” wielkiego przemysłu, rolnictwa, handlu drzewem, a także, pod pokrywką, interesów mocarstw zagranicznych. Wiadomo, że w czasie ostatniej wojny Czesi byli mistrzami w tej grze. Polskiemu rządowi emigracyjnemu w Londynie do dziś robi się żarzyć że nie miał swojej „lobby” polskiej w Kongresie Stanów Zjednoczonych.

Wynikiem tych procedur wyborczych i praktyk parlamentarnych, mimo systemu prezydenckiego w Ameryce, jest (DOKOŃCZENIE NA STR. 6)

UWAGI NA TEMAT PRZYSZŁEGO USTROJU POLSKI (Ciąg dalszy)

wprost katastrofalny poziom intelektualny i moralny członków rządu. Ciągłe skandale polityczne, przekupstwa, sądy czy „Komisje Królewskie”. To samo w Kanadzie, we Włoszech, nie mówiąc już o krajach „trzeciego świata”, gdzie politycznie brak jakiegokolwiek umiaru w korupcji.

TRUDNOŚCI

Wątpliwe czy uwolniona politycznie od przemocy sowieckiej Polska uniknęłaby katastrofalnej sytuacji bałaganu politycznego bez rządu silnej ręki, opartego o solidne podstawy zaufania społecznego. Zagadnienie to nie łatwe. Przyjąć należy, że w Polsce dzisiejszej nie ma partii politycznych, ani oficjalnych, ani podziemnych. Brak na to warunków od kilku pokoleń. Kto miał młodzież uczyć myślenia politycznego? Są wprawdzie załazki prądów politycznych, potencjalnie mogących być podstawą przyszłych stronnictw. Ale będzie to proces powolny i uciążliwy, obliczony na przyszłe pokolenia wychowane w atmosferze wolności myśli i słowa. Tu właśnie leży obowiązek tej części Narodu, która co prawda już kurczy się z wiekiem, ale ma tradycje politycznego myślenia, a często jeszcze praktykę pracy politycznej. Szczęśliwie i w kraju są już załazki zespołów młodych, uczących się i myślących. Ale to bardzo mało. Z drugiej strony w dużej mierze przetrwały tam najgorsze tradycje tego co się nazywa wciąż „sanacja”, a co Polskę prowadziło przez ostatnie lata niepodległości do zguby. Jest to element arogancko aktywny, nie mający żadnego wykształcenia w dziedzinie myśli politycznej, a posługujący się sloganami w rodzaju „silni, zwarci, gotowi” i oglądający się za nowym „wodzem”. Tu leży wielkie niebezpieczeństwo, żeby silna władza potrzebna Narodowi nie wpadła w niewłaściwe ręce. Kandydatów na wodzów będzie wielu. Mieliliśmy takich i w Ruchu Narodowym, a nawet nieliczni pogrobowcy ich jeszcze żyją i się nie wyleczyli.

GRUPY SPOŁECZNE

Największa trudność będzie w początkowym okresie zanim Naród w nowej sytuacji nie okrzepnie i nie wytworzy koncepcji powoływania i funkcjonowania władz naczelnych. Istnieją przecież w Polsce grupy społeczne, które dość dobrze przetrwały kataklizmy.

1. Ludzie pracujący na roli — nie chcą używać określenia „chłopi”, bo chłopów w pojęciach Reymonta czy Witosa już w Polsce nie ma, jak i nie ma sensu dziś nazywania jakiegoś stronnictwa „ludowym”. Dziś Naród to lud.

2. Pracująca inteligencja — prawdziwi naukowcy, nauczyciele, lekarze i pracownicy służby zdrowia, pewna mała ilość prawników, inżynierowie, ludzie pracujący na morzu. Wiele z tych ostatnich dzięki możliwościom kontaktów ma otwarte głowy, sporo młodzieży idzie do służby na morzu, ku wolności. Najgorzej sprawa wygląda w służbie dyplomacji i w wojsku, choć i tam znajdzie się garstkę która służy Polsce, a nie reżimowi.

3. Artyści — mamy dobry teatr, świat muzyki, plastyków. Zaliczyć tu można pisarzy i dziennikarzy, którzy zachowali niezależność.

4. Niezależnie myślący działacze związków zawodowych — robotniczych miejskich. Tu wyrosła „Solidarność”.

Ogromny problem, to Episkopat i kler. Przecież oni to, z Prymasami na czele byli i są kościem moralnym Narodu. A jednak nie byłoby to z pożytkiem ani dla Państwa ani dla Kościoła, żeby kler odgrywał decydującą rolę w rządzeniu krajem. Nie znaczy to, żeby Prymas nie miał odgrywać żadnej roli w rządach. Ale nie widzę odbudowywania w Polsce jakiegś partii chrześcijańsko-demokratycznej opartej o księży. Partia taka była przecież u steru w okresie drugiej wojny i egzaminu nie zdała, mimo że w Sikorskim miała silnego przywódcę. A i w ostatnich latach linia polityczna „Tygodnika Powszechnego” nie wróży dobrze na przyszłość.

SAMORZĄD

Wreszcie trzeba przemyśleć i ustalić rolę kierowników samorządu terytorialnego w doborze ludzi rządzących Państwem. W roku 1934-tym weszła w życie w Polsce „Ustawa o Samorządzie”. Była to w zasadzie dobra ustawa, gdyby była uczciwie stosowana przez rządy sanacyjne i nie nadużywana korzystaniem z uprawnień czynników administracji państwowej do nie zatwierdzania wybranych władz samorządu, a mianowania na ich miejsce „komisarzy”, pachołków sanacji. W ten sposób dobrą ustawę doprowadzono do absurdu. Władze lokalnych organów samorządu terytorialnego oczywiście winny być wybierane, tak jak władze Izby Rzemieślniczych, Rad Adwokackich i.t.p. Z reguły na poziomie samorządów wybory odbywają się w bardziej uczciwy i niezależny sposób. Ludzie wybierani są

znani osobiście wyborcom i mają ich zaufanie. Zwykle nie są to „zawodowi” politycy, a raczej mężowie zaufania społeczeństwa. Dodać tu należy, że przeprowadzenie wyborów na terenie samorządów jest prostsze, łatwiejsze dla kontroli uczciwości i niezależności procedury wyborczej, wreszcie znacznie tańsze. Można się obyć bez komputerów i ciężkiej maszyny biurokratycznej.

W pierwszej fazie odbudowy suwerennego Państwa trzeba by jak najprędzej powołać do życia samorządy i doprowadzić do odbudowy administracji państwowej od podstaw. Przyjąć też można, że dobór odpowiednich ludzi w terenie jest łatwiejszy i zapewniający kompetencję wybranych w ich zakresie działania. Mamy dobre precedensy historyczne w odbudowie administracji na Ziemiach Zachodnich po pierwszej wojnie. Natomiast odstraszające przykłady nadużywania władzy za rządów sanacji, czy też wątpliwej wartości planu odbudowy administracji przez „Rząd Londyński”. Do pewnego stopnia sytuacja będzie łatwiejsza niż była w roku 1918-tym: szkolnictwo i sądownictwo istnieje. Wymagać będzie reform i uporządkowania, ale mimo wszystko „P.R.L.” wypuszcza w świat młodzież wykształconą, z mojej obserwacji, lepiej niż na Zachodzie, a w zakresie sądownictwa największym i palącym problemem będzie rewizja ustawodawstwa.

Uważam, że w zakresie zgrubsza zarysowanych powyżej problemów Polacy, specjalnie żyjący w wolnym świecie, mający bezpośrednie doświadczenia z życia środowisk w których żyją i dostęp do wszelkiej literatury w zakresie prawa i praktyki konstytucyjnej mogą walczyć przyczynić się do przygotowania dla kraju pewnych tez i sugestii; decydować o ustroju Polski będzie tylko społeczeństwo w Kraju. Ale już dzisiaj trzeba z jednej strony w pewnych zespołach poza Polską myśleć o tych zagadnieniach i dawać wyniki takiej moralnej pracy na piśmie dla kraju, z drugiej strony dążyć do powoływania do życia w Polsce zespołów pracujących nad zagadnieniami ustrojowokonstytucyjnymi. Nie są to zadania niewykonalne i mają konkretne warunki pracy i zastosowania w życiu — może w bliskiej przyszłości. Aby zaś znów nie zaskoczyła sytuacja jak to było w roku 1980-ym, kiedy na pewno możliwości zmiany były, ale nikt — ani w kraju — ani poza Polską — nie był na to przygotowany i bezradnie patrzył na bieg wypadków, poza garścią trockistów którym się wydawało, że są możliwości zmiany na ich styl marksizmu.

L. R. JASIEŃCZYK KRAJEWSKI

DEMOKRACJA NA CENZUROWANYM

WYBORY w W. Brytanii były ważnym wydarzeniem zarówno dla tego kraju, jak i dla Europy i aliansu zachodniego. Gdyby wygrała Partia Pracy, ze swoim programem jednostronnego rozbicia nuklearnego i zlikwidowania baz amerykańskich, oznaczałoby to głęboki kryzys polityczny Zachodu. Oznaczałoby też powrót do anarchii gospodarczej poprzez wszechwładzę związków zawodowych, inflację i zbiurokratyzowanie. Byłoby kwestią niedługiego czasu zredukowania W. Brytanii do roli trzecio- czy czwartorzędnej kraiku. Obserwowaliśmy więc wszyscy wybory w pewnym napięciu.

Rozsądek zwyciężył — mógłby ktoś zauważyć. Tak, ale czy nie na tylko cztery lata? Czy ta lekcja czegoś nie mówi na przyszłość? I czy chcieliśmy sami, dla Polski, ustroju, w którym tak duże ryzyka byłyby „wbudowane w system”?

Kampania przedwyborcza była upokarzającym spektaklem. Inwektywy, „brudne sztuczki”, czysta demagogia, bezwstydną obietnicę „złotych gór”, apelowanie do naiwnej uczciwości wyborców — „głosujcie na nas. Oni przecież was nie kochają” (*They don't care*), całowanie dzieci i przedstawianie ze ścisłaniem dłoni beznamiętnej gawiedzi, czułości małżeńskie przed ekranem telewizyjnym itd. Na postawie tej „gry” wyborcy powinni sobie wyrobić jak najgorsze wyobrażenie o swoich kandydatach na przywódców. I wielu z pewnością tak czuje.

„Sąd nad Reaganem” w telewizji amerykańskiej jest innym przykładem demokracji nieco upośledzonej. „Katonowie” dla niezamożnych, plutokratyczny neopatrycjusz obu partii prześcigają się w gorliwości atakowania swojego prezydenta, rzucania mu kłód pod nogi i dowodzenia, że jego polityka jest do niczego. Czynnikiem to w imię rzekomej lojalności dla Konstytucji i Prawa, podczas gdy dla wszystkich jest jasne, że ich

motywy są bardziej przyziemne, partykularne i obojętne na rzeczywisty interes państwa i... pokoju. Ich naiwność i ignorancja w sprawach polityki kontrastuje nieraz ze zwykłym odczuciem „człowieka z ulicy” i da się tłumaczyć tylko skoncentrowaniem na sprawach osobistego bogactwa i znaczenia. W tych warunkach kto, przy zdrowych zmysłach, zechce być nowym prezydentem?

A jednak demokracja jest niezaprzeczalnie i bezapelacyjnie dobroczynną koniecznością. Widzimy, do czego prowadzi jej brak na przykładzie Rosji, która dramatycznie próbuje wydostać się z upadku spowodowanego totalizmem i usiłuje zdemokratyzować swój system.

STRUKTURA władzy pojętej nie jako przywilej, ale jako służba, musi tworzyć się z dwu źródeł równorzędnych: demokratycznego wyboru i rozsądnego prawodawstwa. Są tu więc dwa różne zagadnienia.

Wybór: czy każdy może i powinien wybierać kandydatów na wszelkie funkcje? Czy też raczej powinien wybierać tych, których zna i na funkcje, których sens i rolę pojmuję? Czy kandydować może każdy i według jakich kryteriów? Czy propaganda przedwyborcza jest usprawiedliwioną formą i w jakich granicach? Jaka jest najlepsza praktyczna formuła na wciągnięcie wszystkich w czynny udział w systemie delegowania władzy, który odpowiadałby potrzebom nowoczesnego państwa i aspiracjom narodu?

Prawodawstwo: w jakich granicach władza ustawodawcza i władza wykonawcza mają dzielić obowiązki decyzji w rządzeniu? W jakich granicach ugrupowania polityczne czy partie mogą w swych programach kwestionować konstytucyjnie uchwalony ustrój i cele narodu? Czy może być legalne opieranie programu partii politycznej na interesach i wpływach „struktur siły”

takich, jak np. związki zawodowe, lub tzw. „kapitał”? Jakie formy ustrojowe mają zapewniać rzeczywisty udział w sprawowaniu władzy poszczególnym naturalnym grupom społecznym w podziale tak gospodarczym, jak i kulturalnym? Jaka powinna być rola państwa jako egzekutywy organizacji narodu? Jakie struktury organizacyjne powinny zastąpić skompromitowany system biurokracji?

Oto garść pytań pilnie czekających na odpowiedź. To, że te sprawy są dzisiaj zwykle zaniedbywane, mniej lub więcej całkowicie, powoduje, że większość palących problemów, dotyczących życia społeczeństw zostaje nierozwiązanych lub źle rozwiązywanych. Natomiast kwitnie walka o władzę pomiędzy stronami, które nie są w stanie ofiarować rzeczywistych rozwiązań, ponieważ mają swoje partykularne, ograniczone cele, nie dostosowane do potrzeb całości.

Wynika to z historii. W obecnym stadium rozwoju formy ustrojowe tworzą się cokolwiek „dziko”, od przypadku do przypadku, w walce politycznej stron „zainteresowanych” czyli mających odrębne interesy. „Państwo” widziane jest jako środek do uzyskania hegemonii nad całością i w ten sposób poparcia jednych interesów przeciw drugim. Jest to oczywista nienormalność, błąd w założeniu. Ale mentalność „partyjna”, oparta na tradycji walk politycznych, gotowa jest utrzymywać taki porządek, w obawie przed zlikwidowaniem systemu partyjnego, co widziane byłoby jako zlikwidowanie demokracji.

Dopóki „partie” opierają swoje programy na tradycji podziałów i partykularzy, nie widać wyjścia z tej sytuacji. Kraje prymitywne, początkujące na drodze demokracji, próbują zlikwidować system wielopartyjny, zastępując go systemem jednopartyjnym, czyli totalitarnym. Odpowiedzi szukać trzeba jednak na innej drodze.

INTEGRACJA i dezintegracja są więc rzeczywistymi alternatywami państwa. W krajach prymitywnych integracja dokonuje się siłą; w krajach cywilizowanych to się już nie udaje i potrzebny jest consensus.

Z tego prostego faktu płynie istotna konsekwencja: dla pomyślnego, trwałego istnienia państwa konieczne jest istnienie jednolitego, scalonego społeczeństwa, uznającego jeden cel zasadniczy, wspólny, oparty o jedną, konsekwentną treść narodową. Różnice w drugorzędnych szczegółach i sposobach mogą i muszą powodować tworzenie się grup czy stronnictw politycznych, ale to nie powinno prowadzić do podziałów uderzających w istotę i sens narodu, ani jego organizacji — państwa.

Warunkiem więc pomyślnego funkcjonowania demokracji jest wspólna treść i tradycja historyczna i kulturalna. Nie można zintegrować Polski komunizmem ani Rosji mahometanizmem, ale można i dla jednej i dla drugiej znaleźć treść, która będzie wyrazem pragnień i dążeń społeczeństwa. Podporządkowanie jednak treści jednego narodu wartościom uznawanym przez inny musi powodować konflikt.

Spółeczeństwo scalone świadomością wspólnej treści jest w stanie samo wypracować sobie formy ustrojowe służące sensownemu, skutecznemu funkcjonowaniu jego działalności i dobrej woli, zaufania i wzajemnego zrozumienia, łatwo jest wypracować sobie ramy prawne pomyślane jako wzór i podstawa polityki, czyli rozwijania własnej historii w przyszłość.

Znajdzie się tu więc miejsce na odpowiedź na nasze pytania. Nie byłoby celowe przewidywać szczegółów i prowokować spory. Są jednak pewne linie ogólne, wynikłe z doświadczenia historycznego, które zdają się narzucać jako oczywiste kierunki rozwiązań.

Pierwsza, to spostrzeżenie, że państwo źle się wywiązuje ze swych zadań, jeżeli mu się każe interweniować w szczegóły należące do naturalnych prac samego społeczeństwa. A więc należy ograniczyć zakres administracji, biurokracji państwowej, zastępując ją samorządem. Przy czym pamiętać trzeba, że samorząd nie ma być władzą, ale służbą i wykonawcą praw.

Druga, to doświadczenie, że interesy zawodów czy przedsiębiorstw nie mogą ze sobą współzawodniczyć, ponieważ są od siebie współzależne. Walka więc o płace musi zostać zastąpiona odpowiedzialną polityką produkcyjno-wymiennej współpracy w ramach samorządu, zmierzającą do stabilności pieniądza i stabilnych warunków produkcyjnych.

Trzecia, to zharmonizowanie współdziałania władzy ustawodawczej z wykonawczą. Mocny rząd nie powinien być groźbą dla parlamentu, ani parlament nie powinien krępować niezbędnej swobody rządu. Konstytucja powinna być więc tak pomyślana, by była wykonalna i konstruktywna.

Wreszcie uwaga, że zasada demokracji, tj. wolny wybór, musi podążać za prawdziwymi potrzebami i warunkami w każdej konkretnej sytuacji i nie może iść na przekór celom instytucji państwa. Nie jest ona bowiem celem sama w sobie, ale środkiem.

KRYTYKA więc demokracji, w oparciu o obserwację jej niedomagań tak przeszłych, jak i aktualnych, wskazuje na konkretne, stwierdzone wadliwości praktyk w jej zastosowaniu w ustrojach poszczególnych krajów. Wina zdaje się leżeć w tych ustrojach: nie zdołały one jeszcze usunąć rozbieżności interesów i celów całych sekcji społeczeństwa w strukturze produkcyjno-wymiennej i pozwoliły na rozwijanie się stronnictw (DOKOŃCZENIE NA STR. 7)

ANNA MARIA SZYMAŃSKA

DEMOKRACJA OD PODSTAW

Są zagadnienia, które nurtują głęboko społeczeństwa, przekraczając granice krajów i narodów. Jakąś tęsknotę do „demokracji”, wstręt do totalitaryzmu i poczucie bezsilności obywateli wobec tego, co się dzieje w danym kraju, spotykamy nie tylko na Wschodzie ale i na Zachodzie. W kwietniowym numerze „Myśli Polskiej” Jacek Bartyzel, analizując obecny stan kultury politycznej w Polsce określił owe mgliste pragnienie jako „swoisty fetyszizm, ciąg myślowy: będziemy mieli demokrację, wszystko odmieni się na lepsze, jak za dotknięciem różdżki czarodziejkiej”. Myślenie tego rodzaju nie bierze pod uwagę rzeczywistości np. w krajach afrykańskich, wyzwolonych spod władzy kolonialnej właśnie w imię demokracji. Nie bierze także pod uwagę pewnych zniekształceń, które powstały w starych, wzorcowych, liberalnych demokracjach takich jak angielska.

Komentatorzy telewizyjni spodziewają się wiele w Afryce Południowej po zasadzie *one man, one vote*, rozciągają perspektywy demokracji w Rosji sowieckiej dzięki wprowadzeniu tajnego głosowania i badają nieustannie opinie brytyjskich wyborców, spierając się o procenty, znamionujące poparcie tej czy innej partii, podczas gdy zubożeni społeczeństwo bardziej się przejmują bezrobociem, żądaniami podwyżek płac, troską o cenę kufła piwa. Sploty społeczne, swoiste zacieśnienie horyzontu myślowego sprzyja procesom bierności, w których odpowiedzialność jednostki zanika. Tymczasem od niej właśnie zaczyna się owa „samoorganizacja społeczeństwa, dzięki której ona, a nie władza staje się centralnym punktem odniesienia”, o czym pisał Bartyzel.

Jak bowiem reasumował niegdyś ks. Jan Piwowarczyk myśl społeczną papieża Piusa XI: „Wielkość i potęgę państwa tworzy nie rada ministrów i nie administracja. Tworzą ją obywatele. Rzecz państwa jest zostawić im swobodę

twórczości i kierować nią przez odpowiednią organizację samorządu zawodowego”.

W jaki sposób społeczeństwo może prawdziwie mieć wpływ na rządy, skoro „demokracja” oznacza „rządy ludu”? Jaką rolę w formacji społeczeństwa odgrywa rodzina, prawo własności, stosunek do pracy, pracodawcy, pracownika; jak uchwytne jest zakres władzy i odpowiedzialności? Jaką rolę odgrywa w całości społeczeństwa podstawowa jednostka — człowiek?

Istnieje wiele różnych odpowiedzi na te pytania. Dla nas, Polaków, określających się jako katolicy, warto by przypomnieć etyczne rozwiązania, stanowiące dorobek nauki społecznej Kościoła w postaci encyklik papieskich, dekretów soborowych i innych kluczowych wypowiedzi. Warto też sięgnąć do innych ciekawych źródeł, jak angielskie prace naukowe.

Człowiek jako jednostka

Punktem wyjścia dla chrześcijańskiej nauki jest osoba ludzka, człowiek, którego wartość jak mówi papież Jan Paweł II — przekracza cały świat rzeczy — „skoro dla nas Bóg stał się człowiekiem i ofiarował swoje życie jako Zbawiciel Człowieka — Redemptor Homini”. Ten człowiek-osoba jest podstawową jednostką, dla której społeczeństwo istnieje. „Główny cel życia społecznego — mówił papież Pius XII — pozostaje zawsze ten sam, święty i obowiązujący mimo wszystkich przemian i przeobrażeń. Jest nim rozwój wartości osobowych człowieka, który jest obrazem Boga. Stąd też zawsze trwa i nigdy nie wygasa ściśle prawo jednostki, które musi być uszanowane zarówno przez przyjaciół, jak wrogów; prawo korzystania z urządzeń i z ochrony prawnej, z warunkiem, oczywiście koniecznym, służby dobru ogółu”. Społeczeństwo ludzi nie jest ani mrowiskiem ani ulem, gdzie jednostka tylko dla społeczności istnieje, jak to sobie wyobrażał J. J. Rousseau. Jak pisał ks. J. Piwowarczyk: „Etyka chrześcijańska czyni zadość dwom

koniecznościom ludzkiej natury: indywidualnym i społecznym. W ten sposób daje podstawę dla zdrowego bytu państwowego”. Zauważa też, że „akcentując godność człowieka Ewangelia równocześnie uczy podporządkowania go autorytetowi społecznemu; głosząc prawa osoby w stosunku do państwa podkreśla równocześnie jej obowiązki”. Tymczasem dzisiaj wszyscy chcą się dopominać o swe prawa, a poczucie obowiązków z niego wynikających zostaje zatarte egoizmem, co w praktyce oznacza postawę dziecka, które wciąż coś chce, a nie postawę człowieka dorosłego, podejmującego odpowiedzialność, spełniającego ciężące obowiązki w sposób świadomy, dojrzały.

Dojrzałość jednostki

Ten temat stanowi fascynującą, a mało u nas znaną pracę naukowców angielskich, zawartą w książce „The Family and individual Development”. Dr. W. Winnicott w rozdziale „Some thoughts on the meaning of the word Democracy” przytacza kluczową powojenną pracę R. E. Money-Kyrle z Kongresu Zdrowia Psychicznego w r. 1948 w Londynie i jego tezę, że „demokracja oznacza społeczeństwo, dostosowane do swoich zdrowych członków-jednostek” Autor rozwija dalej tę myśl, formułując swoje matematyczne „równanie na demokrację”.

Demokracja jest w tym tekście pojęta jako osiągnięcie określonego (mającego naturalne swe granice) społeczeństwa w danym momencie (określonym czasie). Społeczeństwo zaś, z psychologicznego punktu widzenia, składa się z bardzo różnych części składowych-jednostek ludzkich. Prócz jednostek zdrowych, zdolnych do dania wkładu, spotykamy x jednostek otwarcie antyspołecznych oraz z jednostek które wewnętrzną niepewność, brak poczucia bezpieczeństwa (*inner insecurity*) pokrywają przez identyfikację z władzą. Są to ludzie określani jako *pro-society*, *anti-individual*, *hidden antisocials*, czyli ludzie, których poparcie dla autorytetu, władzy, nie wynika z własnego „odkrycia siebie” czyli obiektywnego osądu rzeczywistości i rozwiązywania konfliktu we własnym wnętrzu, jak to czynią ludzie dojrzały. Skrycie antyspołeczni a przeciwni jednostkom ludzie „szukają winowajców” poza sobą, przenoszą konflikt na zewnątrz poza swoje „ja” (jak dziecko, które uderza stołek, „bo mnie potrącił”). Stanowią oni materiał niezdrowego typu przywództwa, społecznie niedojrzałego, a zwiększającego niebezpieczeństwa ze strony otwarcie antyspołecznych typów, tym bardziej, że zwykli ludzie łatwo dają dojść do władzy tym, którzy prą w jej kierunku, by zająć kluczowe pozycje. Raz je osiągnąwszy „skryci antyspołeczni” przyciągają do siebie prawdziwie antyspołeczne elementy, które uznają ich za panów, co pociąga za sobą niedemokratyczną drogę do dyktatury. Ponieważ zawsze istnieje pewna ilość ludzi niezdeterminowanych w takiej sytuacji, na skutek własnej słabości i strachu przyłączają się oni do tak wytworzonej większości. Powstaje wówczas „gorączkowe budowanie demokratycznej fasady” i rozbudowa instytucji „korygujących” jak więzienia i szpitale psychiatryczne, w których lekarzy używa się do celów politycznych (pisał

to lekarz blisko 40 lat temu). Mamy więc równanie:

$Społeczeństwo = 100 - (x+y+z)$ i w opisanej sytuacji 30% dojrzałych oraz 20% niezdeterminowanych może okazać się za mało, aby zrównoważyć antyspołecznych otwartych i „ukrytych”, do których dołączają niezdeterminowani. Wojna np. — jak twierdzi Winnicott — jest sytuacją, w której demokracja funkcjonować nie może, bo antyspołeczni i skłonni do paranoi osobnicy wyprzedzają w niej powolniejszych ludzi dojrzałych. Na czas wojny republikańscy Rzymianie wybierali dyktatora.

Demokracja prawdziwa jest synonimem dojrzałości i zdrowia społeczeństwa i trzeba dbać o jej rozwój, stwarzając warunki dla istnienia wrodzonego demokratycznego czynnika, jakim są osoby odpowiedzialne, dojrzałe, a pochodzące ze „zwykłych dobrych domów” (*ordinary good homes*) czyli wychowani dobrze w rodzinach. Dr. Winnicott podkreśla, że to wychowanie w rodzinie jest jedynym otoczeniem, w którym czynnik demokratyczny może powstać i podkreśla, że wkraczanie czynników zewnętrznych, jak społeczeństwo i państwo, lekarze i inni pomiędzy matkę a dziecko stanowi poważne zagrożenie tej istotnej więzi wychowawczej. Jeśli niesłychany wkład i poświęcenie matki w wychowanie dziecka od niemowlęctwa zostają zniekształcone lub udermionne, nie ma nadziei na to, by ten przyszły obywatel znalazł się w owej wartościowej grupie 100 — $(x+y+z)$ dojrzałych jednostek.

Pomimo, że w późniejszych latach inni naukowcy uzupełnili Winnicotta mówiąc, że jeśli nie matka, inna znacząca dla dziecka osoba może jej rolę spełnić (niania, babka) nie obalono jego zasadniczej tezy.

Głosowanie jako wybieranie

Zagadnienie rodziny według Winnicotta i nauki społecznej Kościoła to kwestia wychowywania ku pełni osobowości. Chrześcijaństwo patrzy na osobę ludzką jako byt cielesno-duchowy, zdolny do samostanowienia, obdarzony świadomością, a spełniający się w czynie. Wolna wola umożliwia działanie dzięki któremu następuje integracja osobowości. Motorem jej jest miłość. Winnicott wykazuje, że rodzice stwarzają środowisko, w którym każde dziecko może rozwijać swą indywidualność, jednocześnie identyfikując się z rodzicami a stopniowo i większymi grupami, jeśli ten układ jest prawidłowy, dorośli obywatele jako wyborcy obierają sobie „zastępczych rodziców” w postaci swych obranych przedstawicieli. Identyfikacja z autorytetem jest możliwa tam, gdzie każda osoba wnosi niejako cały świat w swym wnętrzu. Zdrowy człowiek rozwija istniejący konflikt w swoim wnętrzu i zgodność następuje wtedy, kiedy w obliczu wspólnie podzielanej zewnętrznej rzeczywistości rozwiązanie jest zbliżone. Sądzę, że przykładem może tu być sytuacja w Polsce latem 1939 roku, kiedy zarządzenie mobilizacji pokrywało się z wewnętrzną decyzją każdego obywatela, że Polski trzeba bronić przed najeźdźcami.

Winnicott uważa w związku z tym, że wybierając kandydata jako osobę wierzącą temu na kogo głosuję, jeśli wierzę i w siebie. Ufam, że skoro w danej sytuacji tak się zachowuje, takie poglądy wyraża,

będzie odpowiednio mnie reprezentować. Ma to być znacznie lepszym rozwiązaniem, niż głosowanie na jakąś tendencję (linię partyjną, polityczną) lub głosowanie typu referendum, bezpośrednio na zagadnienia. Osoba, przez wyborców wybrana, może działać jak „cały” człowiek. Winnicott zastrzega się jednak, że jest to jego osobiste zdanie.

Mam wrażenie, że od tego czasu zaszły różne poważne zmiany w życiu politycznym na Wypach Brytyjskich, które osłabiły możliwość głosowania na osoby jako takie. Dyscyplina partyjna (*party whip*) uniemożliwia czasem wybranym przedstawicielom głosować w parlamencie zgodnie z własnym sumieniem i wyrażonymi wobec wyborców poglądami. Pewne zagadnienia, jak: czy przystąpić do Europejskiego Rynku, angażowały emocje tak dalece, że referendum było jedynym rozwiązaniem (Zresztą w społeczeństwie liczebnie mniejszym a politycznie dojrzałym Szwajcarzy regularnie przegłosowują różne decyzje zbiorowe, mając możliwość obnażania się ze sprawami do zadecydowania). Na to, by wyborca mógł ze spokojnym sumieniem głosować na osoby, muszą one w jakiś sposób wykazać swą prawdziwość, charakter, bezinteresowne oddanie większym od siebie sprawom, inaczej wybory stają się farsą.

Z chwilą, kiedy wybraliśmy człowieka godnego zaufania jako naszego reprezentanta, musimy mu (albo i jej!) dać pole do działania, do podejmowania decyzji w naszym imieniu, bo teraz ci wybrani mogą osądzać nam bliżej nieznaną sprawę za nas.

Zakres odpowiedzialności

Oprócz cech charakteru kandydata które pozwalają wyborcom mieć do niego (niej!) zaufanie potrzebne mu są jeszcze umiejętności, związane z szerszym zakresem odpowiedzialności. Niezależnie jest instytucja, która dobrze funkcjonowała kiedy była mała, jak małym był jej zarządca, ale z chwilą gdy urosła, przekracza możliwości swego menedżera, są natomiast ludzie, których horyzonty ogarniają przyszłość i którzy jednocześnie umiejętnie organizują rzeczywistość, delegując władzę podwładnym czy współpracownikom, pobierając śmiało decyzje. Uznawanie tych zdolności i wykorzystanie ich pozwala sprawnie funkcjonować organizmowi społecznemu. Nie wszystko musi być przegłosowywane większością, ale między niekiedy wybujałym indywidualizmem jednostki a bezosobowym „molochem” państwowym powinny istnieć zdrowe „ciała zbiorowe”, reprezentowane przez przedstawicieli nie z imienia tylko (narzucanych). Dziś obywatele nie są już jak dzieci, niewykształceni, zależni pod każdym względem od innych, jak niegdyś „proletariusze”, ludzie, których jedynym bogactwem było potomstwo. Dzisiaj, dzięki upowszechnieniu szkolnictwa zanikły granice „klas” społecznych, sztuczna bariera między inteligentem a robotnikiem. Tam, gdzie ludzie uczą się myśleć i umieją stworzyć podstawy gospodarcze własnego życia i swych bliskich, stają się gotowi do ponoszenia odpowiedzialności i domagają się tej wolności, jaka jest do tego konieczna.

Nadal są aktualne zasady, które ujął papież Pius XI w 1931 r. (w

DEMOKRACJA NA CENZUROWANYM

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 6)

politycznych po linii rywalizacji gospodarczej zamiast po linii koordynacji i współpracy. To staje się coraz bardziej oczywiste i widać coraz więcej wysiłków, by temu zaradzić.

Można by więc stwierdzić, że naturalny rozwój demokracji musi pójść w kierunku wprowadzenia jej w życie w strukturach naturalnych społeczeństwa. Ograniczanie jej do rytuału wyborczego lub używanie dla podparcia instytucji protegowanych, wbrew interesowi narodowemu, musi powodować anomalie.

Widzimy potężny nurt przemian potwierdzający te obserwacje. Złudzenia totalizmu i mistyka cudowności Rewolucji przechodzą do lamusa. Złudzenia liberalizmu i kult Kapitału idą tą samą drogą. Były to fetysze naszych dziadków i przyniosły więcej szkód niż korzyści. Potrafimy dziś uczyć się z ich historii i wnioski z tej nauki stosować w praktyce. Byłoby źle, gdybyśmy tego uczynić nie zdołali.

W tym procesie rozwojowym i Zachód i Wschód znalazły się na wspólnej drodze. Od tego, jak szybko i sprawnie po niej będą kroczyć, będzie wiele zależało w przyszłości. Ułożenie bowiem przy-

jaznych stosunków wzajemnych będzie o wiele łatwiejsze, gdy się zatrą różnice ideologiczne i doktrynalne.

W perspektywie logiki wydarzeń to właśnie wydaje się drogą nadziei i drogą rozsądku. Ale byłoby lekkomyślnością nie doceniać oporu zakorzenionego interesu i struktur siły, broniących swoich ustalonych pozycji. Demokracja, władza narodu, wywalcza tylko stopniowo i z trudem zwycięstwo nad starożytnym despotyzmem.

Reagan contra Kongres i Gorbaczow przeciw biurokracji, to są tylko objawy tego, co się dzieje, sygnały przeciwnych sił i układów. Opór starego porządku przeciw nadejściu nowego. Nie osobowości tu grają: gra logika czasów. Akompaniament mitów i hasel, który był muzyką naszych tragicznych dziejów, cichnie i ustępuje. Wyłania się, pozostaje, nagi fakt konfliktu pomiędzy bezwładem zachowawczej ortodoksji i naturalnym rozwojem żywego społeczeństwa ludzkiego. To już nie konflikt idei i kultur. To życie pokonuje opór martwej masy. Wiedząco warto niepodzielnej uwagi.

L. R. Jasińczyk
Krajewski

(DOKOŃCZENIE NA STR. 8)

DEMOKRACJA OD PODSTAW

Quadragesimo Anno), podkreślając znaczenie „budowania od dołu”, co jest przeciwieństwem narzucania systemów, dyktowania. Papież proponuje zasadę „pomocniczości” mówiąc: „Co jednostka z własnej inicjatywy i własnymi siłami może zdziałać, tego jej nie wolno wydierać na rzecz społeczeństwa; podobnie niesprawiedliwością, szkoda społeczną i zakłóceniem ustroju jest zabieranie mniejszym i niższym społeczeństwom tych zadań, które mogą spełnić — przekazanie ich społeczeństwom większym i wyższym. Każda akcja społeczna ze swego celu i ze swej natury ma charakter pomocniczy; winna pomagać członkom organizmowi społecznego, a nie niszczyć ich lub je wchłaniać”.

Papież Pius XI argumentuje, że istnienie licznych organów społecznych leży w interesie państwa, bowiem „oddanie mniej ważnych obowiązków niższym społeczeństwom do wypełnienia pozwoli państwu wykonywać kierownictwo, kontrolę, nacisk, karanie nadużyć, co zwiększy autorytet i energie społeczne. Państwo będzie przez to szczęśliwsze”.

Naturalne struktury społeczne

„Obywatel świata” jest pojęciem, któremu trudno ufać, stwierdził w swych końcowych uwagach Winnicott, „ponieważ w budowaniu społeczności nie możemy sięgać dalej, niż w osobowym rozwoju”. Dlatego takie znaczenie w formowaniu społeczeństwa ma dla niego rodzina, wywiązująca się ze swej funkcji wychowawczej. Tymczasem jesteśmy świadkami daleko posuniętej kapitulacji rodziców na rzecz żłóbka, przedszkola, szkoły, organizacji, a także „mechanicznej niańki” w postaci telewizora.

Erozja, osłabienie roli wychowawczej ojca daje poważowania godne skutki, szczególnie jeśli chodzi o formowanie osobowości chłopców, którzy w rezultacie

często nie są zdolni do podejmowania pracy. Bezrobocie w krajach, w których pisma fachowe są pełne ogłoszeń o pracy, na które nikt się nie zgłasza, skłonność do narkomanii i alkoholizmu wskazują na jakieś poważne braki wychowawcze, ale mimo ambicji feministek nie możemy ignorować też skutków „wycofania się” ze swej roli matek. Praca zawodowa kobiet może w wielu wypadkach być koniecznością, ale kształtowanie osobowości nadal jest nadrzędnym zadaniem, rozpoczynanym i kontynuowanym w rodzinie, jak to przypomniał Jan Paweł II w *Familiaris consortio*.

Już papież Leon XIII podkreślał (w *Rerum Novarum*), że „rodzina jest prawdziwą społecznością i jest starszą od wszelkiego państwa; winna też mieć prawa i obowiązki swoje niezależne od państwa”. Państwo winno jej pomagać, chronić ją. Pius XI dodał, że struktura plac winna zapewniać byt tej najmniejszej a podstawowej społeczności przez odpowiednią płacę ojca rodziny, co umożliwiłoby matce poświęcanie więcej czasu dzieciom. Więcej uwagi poświęcić — to już jest kwestia decyzji samych kobiet, których wkład nadal nie jest przez społeczeństwo doceniany. Dowartościowanie roli wychowawczej i „fachowej” przygotowanie do tej pracy są obecnie więcej niż kiedykolwiek potrzebne. Frazesy polityków nie wystarczą.

Dowartościować nam jednak trzeba samo pojęcie ludzkiej pracy. Tu w Anglii na przykład Joe Gormley jako przedstawiciel górników kiedyś rzekł: Nie rodzimy się, aby pracować, ale by się cieszyć życiem”. Owo cieszenie się życiem (*enjoyment*), jest dodatnią cechą i oby każdy ją posiadał, ale co do pojęcia pracy, jest ona podstawową

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 7)

wym obowiązkiem człowieka w rozumieniu Kościoła. Jeszcze nim powstała (encyklika) *Laborem Exercens* prymas Wyszyński pisał w 1946 r. („Duch Pracy Ludzkiej”): „Praca była zatem (w raju) obowiązkiem człowieka od pierwszych dni jego życia. Nie jest ona następstwem grzechu pierworodnego... przeciwnie, jest ona związana z naturą rozumną człowieka... Jest zaszczytnym powołaniem przez Boga do współdziałania w wykonaniu planu Bożego. Ma ona nie tylko zachować życie ludzkie, ale zaspokoić wszystkie potrzeby nasze... prowadzić do pełni rozwoju naszych władz duchowych i do udoskonalenia człowieka...” Celowość i użyteczność pracy jest bodźcem naszej pracy jak i sprawdzianem jej wartości”.

Papież podkreśla, że praca nie jest „przedmiotem handlu”, towarem, że pracownik jest osobą, która czuje i myśli, rozwijać może inicjatywę, ma potrzeby tak materialne jak duchowe, a w szerokim określeniu Jana Pawła II „pracownik” to i inteligent i rolnik. Praca winna łączyć a nie dzielić pracowników i zarządców. Papież Pius XI widział potrzebę współpracy różnych zawodów w jednym dziale, co określał wówczas słowo „korporacjonizm”, nie będące faktycznie pomysłem faszystów. Współpraca, a nie ładowa „walka klas” daje podwaliny ładu społecznego, którego cementem jest miłość, poszanowanie każdego człowieka, do których to wartości chrześcijańskich czas wrócić.

Odpowiedzialność a prawo własności

Solidarność ludzka, mająca wiekową historię, nie wystarcza

jednak, by dawać pole do rzeczywistego podejmowania odpowiedzialności. Musi jej towarzyszyć możliwość rozporządzania mieniem, wynikająca z prawa własności prywatnej, bez którego pracownik staje się niewolnikiem pracodawcy. Papież konsekwentnie podkreślał prawo pracującego do owoców jego pracy, jednak rozróżniali między posiadaniem (indywidualnym) a użytkowaniem (szerszym, niejednokrotnie wspólnym). Toteż spółdzielczość prawdziwa oznacza związek indywidualnych właścicieli, którzy sobie nawzajem pomagają. Ten ma krowy, ten ciężarówkę, tamten traktor i każdy dba o swoją własność. Kooperatywa oparta o koncept własności „wspólnej a niczyjej” utrudnia budowanie poczucia odpowiedzialności, a wielkie koncerny — czy w rękach państwowych czy prywatnych karteli są bezosobowe i pracownik w nich się nie czuje gospodarzem. Różne rodzaje prób robiono, by temu zaradzić. Można czynić pracowników udziałowcami kapitału (J. Lewis), można podzielić fabrykę na osobne „zakłady”, które się same rządzą (przedwojenny Bata, obecne Volvo). Może też wobec niebezpieczeństwa bankructwa przejąć fabrykę załoga na własną finansową odpowiedzialność, jak to uczyniły robotnice angielskiej fabryki skórzaných wyrobów, które znalazły nowy rodzaj produktu i rynki zbytu, stawiając fabrykę na nogi. Może sam rozsądny właściciel dać pole przedsiębiorczości pracowników, stopniowo im przekazując „cugle” (Tandberg). Rozwiązania tego rodzaju biorą pod uwagę podstawowe cechy natury ludzkiej: potrzebę uznania, twórczego sprawdzenia się, nie tylko „konsumowania”.

Polskie realia a przyszłość

Przyjrzenie się Polakom i Polkom w różnych krajach pozwala nieco rozróżnić między tym, co można by poczytać za cechy wspólne, narodowe, a tym co się wytworzyło na skutek specyficznych warunków. Jesteśmy indywidualistami, zapatrzonymi w przeszłość, historię, ale nie pracującymi aktywnie dla konkretnej wspólnej przyszłości, jak to chcieli czynić pozytywści. W kraju brak ujęć dla ludzi wykazujących inicjatywę obniża fachowość przemysłu czy zdrowie handlu, któremu towarzyszą niechętnie usługi, pogłębiając niedobory gospodarki. Na emigracji Polacy w „cudzym” najczęściej przemysłu wykazują, że potrafią być dobrymi fachowcami, godnymi zaufania i szacunku. W emigracyjnym życiu parafialnym i społecznym widzimy, że indywidualizm nie przeszkadza nam być członkami większych wspólnot, które śmiało podejmują odpowiedzialność za różne inicjatywy. Niebezpieczeństwem jest nasza własna pobudliwość uczuciowa, którą łatwo manipulować, odsuwając możliwość prawdziwej dojrzałości o której pisze Winnicott. Ludzie, którzy wciąż rozważają, jak są pokrzywdzeni, nigdy nie dorastają do samodzielności. Zamiast oglądać się wstecz, zaczynamy więc budować przyszłość od własnego wnętrza, demokrację od podstaw.

ANNA MARIA

SZYMAŃSKA

LISTY DO REDAKCJI

O PRZEWOSKIM I INNYCH SPRAWACH

Drogi Kolego Redaktorze,

Bardzo ucieszyłem się po przeczytaniu artykułu W. Wasiutyńskiego pod tytułem „Dezorientacja”. Niemądry, nieodpowiedzialny i wręcz niepoważny artykuł „Przewoskiego” domagał się jakiejś reakcji ze strony czytelników „Myśli”.

Szkoda wielka, że nie dając nawet żadnego komentarza od siebie, Redakcja wzięła na swe barki odpowiedzialność za ten artykuł, którego treści napewno przecież nie podziela. Od siebie chciałem dodać, że Reagan, o którym „Przewoski” tak uszczypliwie wyraża się, jest jedynym chyba politykiem, który nie jeden już raz poruszał sprawę niepodległości krajów ujarzmionych przez Rosję. Nie tak dawno powiedział on w wywiadzie telewizyjnym, że jest nie do utrzymania taki stan Europy, w której szereg narodów ma ustrój komunistyczny pomimo, że nikt ich o zdanie w tej sprawie nie pytał. Ten stan rzeczy musi być zmieniony — powiedział Reagan. Żaden inny polityk tego nie powiedział. A już Gorbaczow czy Jaruzelski, o których „Przewoski” wyraża się z wyraźną estymą, napewno do zmiany dążyć nie będą, bo z istniejącego stanu rzeczy są bardzo zadowoleni.

Artykuł Adamczewskiego w majowym numerze „Myśli” jest kompilacją wszystkich antyamerykańskich wypowiedzi prasy angielskiej i tutejszych masmedia. Jakiegoś krytycyzmu, jakiejś własnej oceny, nie mogę dopatrzeć się w tym artykule ani śladu. A już szczytem wszystkiego jest cytata Abrahama Lincolna, że „nie można

oszukiwać wszystkich stale”. Czy Adamczewski uważa, że prezydent Reagan „stale wszystkich oszukuje”? To już zalatuje zupełnie propagandą.

Łączę wyrazy szacunku

F. STRZAŁKO

Dnia 26.08.87

33B. Chesterton Road,
London W10 6LY

Szanowny Panie Redaktorze, W związku z artykułem Wojciecha Wasiutyńskiego w „Myśli Polskiej” z maja 1987 r. pragnę poczynić kilka uwag.

Co do nazwiska „Przewoski”. Takiego nazwiska być nie może — pisze Wasiutyński. Owszem jest — i to jak najbardziej. Cytuję za Herbarzem Polski Niesieckiego (Tom VIII, s. 547-8): „PRZEWOSKI h[erbu] własnego, Pomorze i Kaszuby ok. 1600, później też Galicja. Pierwotnie pisali się i są gałęzią RUTENDORF”. Ponadto nazwisko to występuje w większości herbarzy polskich, nie mówiąc już o dziełach Siembachera i Rietstapa. Nazwisko to można łatwo sprawdzić w autorytatywnym „Słowniku Biograficznym”, którego ostatni wydany tom kończy się właśnie na literę P. A więc nazwisko takie istniało. Nie wiem czy Marek Przewoski wywodzi się z tego rodu.

Druga uwaga: jak można zestawiać Wojtyłę z Reaganem. Ci „aktorzy” — jak ich łaczenie określa Wasiutyński — nie mają nic wspólnego! „Caramba!”

Trzecia uwaga: „Prawa człowieka nie są frazeologią ale ideologią

amerykańską” — pisze Wasiutyński. Zgadza się. Jaka szkoda, że ta ideologia nie została zastosowana do Polski po zakończeniu działań wojennych w 2 wojnie światowej. Wasiutyński ani ja nie zostalibyśmy emigrantami. Cenię piśarstwa polityczne Wasiutyńskiego, jednak nasze widzenie Sprawy Polskiej czasami się różni. Myślę dlatego, że Wasiutyński wstąpił do PKPR, a ja zostałem opornym.

Łączę wyrazy szacunku i powa-
żania

BOHDAN M. OŻAROWSKI

Dnia 6.6.1987

6747 N Campbell
Chicago, Ill. 60647

Od Redaktora: Dołączam swoje trzy grosze. Pierwszy: wśród swoich krewnych na Kaszubach mam wielu Przewoskich. Odznaczyli się szczególnie pod Wiedniem, za co Sobieski ich wynagrodził. Wojciech Wasiutyński myślał pewnie o „Przewoskich” — od miasta Przeworsk, ale ci pochodzą przeważnie z całkiem innej parafii, a także nacji. Drugi: oczywiście Marek Przewoski drukowany w „Myśli” był pseudonimem. W kręgu naszej cywilizacji i etyki pisar-

ODNOWIENIE

PRENUMERATU
NA CZAS,
TO NAJLEPSZA
POMOC
DLA NASZEGO
PISMA.

skiej pseudonimy jeszcze nie zostały zakazane. Więc lepiej się ich nie czepiać.

Trzeci grosz: litery PKPR oznaczają Polski Korpus Przysposobienia i Rozmieszczenia, do którego zostali wcieleni wszyscy żołnierze Wojska Polskiego w W. Brytanii.

PRZEOCZENIE CZY ZAPOMNIENIE

Szanowny Panie Redaktorze, Z powodu odległości, dopiero parę dni temu przeczytałem w „Myśli Polskiej” z lutego artykuł Wojciecha Wasiutyńskiego „Stulecie Ligi Narodowej”. Przyznam się, że zdziwiło mnie bardzo, że w artykule tym nie było żadnej wzmianki o moim ojcu, Marianie Seydzie, jednym z czołowych działaczy Ligi Narodowej.

Stanisław Kozicki, w „Historii Ligi Narodowej”, pisze między innymi innymi ustępami o działalności mego ojca: „Naczelną redakcję Kuriera Poznańskiego i Orędownika objął Marian Seyda, który jednocześnie wysunął się na czoło w Lidze i stał się kierownikiem organizującego się prądu demokratyczno-narodowego w zabrze pruskim”. (str. 323)

Na ogół mało znanym epizodem w historii Ligi Narodowej jest fakt, że z biegiem lat pogłębił się silnie we władzach Naczelnych Ligi Narodowej rozdział między Dmowskim, Balickim i ich zwolennikami o orientacji bezwzględnie nie tylko antyniemieckiej, ale również antyaustriackiej, z powodu zależności Austro-Węgier od Niemiec, a tymi, którzy z motywów przeciwrosyj-

Było 14 żołnierzy, którzy odmówili przystąpienia do PKPR uważając w swoim sumieniu, że oznaczałoby to zdradę przysięgi na wierność Państwu Polskiemu. Nazwani zostali „opornymi” i tak zapisani zostali w historii. Wszyscy zostali wydaleny z wysp brytyjskich.

skich stawiali na kartę austriacką. Gdy rozdział ten sparaliżował działalność Komitetu Centralnego Ligi, postanowiono zdecydować, którą jego część ma objąć pełną władzę. W tym celu na wniosek Dmowskiego wszyscy członkowie Komitetu Centralnego złożyli swe mandaty na ręce Józefa Hłaski, przedstawiciela ziem wschodnich i Mariana Seydy, reprezentującego ziemie zachodnie. Obaj powierzyli wspólnie mandat odtworzenia Komitetu Centralnego Dmowskiemu i Balickiemu. W konsekwencji żywoty austrofilskie usunęły się z władz Ligi Narodowej. Nowy komitet centralny z udziałem Hłaski i Seydy powstał już teraz zwrócić i zdecydowanie w kierunku alianckim, z programem zjednoczenia i niepodległości, mimo że Francja i Anglia współdziałały z Rosją.

Mam nadzieję, że „Myśl Polska” zechce umieścić na swoich łamach powyższe uwagi.

Łączę wyrazy poważania,

JAN SEYDA

Dnia 28.7.1987
Calle Colegio Militar 141
Villa Ballester
Codigo Postal 1653

MIROSLAW DZIELSKI

KILKA UWAG O OBYCZAJU ZŁEJ PRACY W POLSCE

Z PEWNYM opóźnieniem doszedł do nas Nr 9 „Polityki Polskiej”, nieregularnego kwartalnika wychodzącego w kraju w tzw. drugim obiegu. Zawiera on m.in. bardzo ciekawy artykuł Mirosława Dzielskiego, który pozwalamy sobie przedrukować. Autor jest jednym z najciekawszych pisarzy i publicystów, którzy się pojawili w kraju w okresie posolidarnościowym. Wielkie wrażenie wywołała jego książka — także wydana w drugim obiegu, a dotycząca aktualnej gospodarki polskiej i najlepszych sposobów jej naprawy. Mirosław Dzielski jest inicjatorem i główną sprężyną Krakowskiego Towarzystwa Przemysłowego, stawiącego sobie za cel propagowanie i tworzenie prywatnych przedsiębiorstw. Po dość długim okresie oporów władze zgodziły się na zarejestrowanie Towarzystwa. Podobne towarzystwo ma powstać obecnie w Warszawie. Mirosław Dzielski należy również do nowej Prymasowskiej Rady Społecznej.

REDAKCJA

UPADEK obyczajów, jaki dziś obserwuje się w Polsce w sferze pracy określa się często i słusznie jako cywilizacyjną katastrofę zagrażającą egzystencji narodu. Naród bowiem istnieje nie tylko dzięki wspólnemu językowi, kulturze, państwu. Naród jest wspólnotą istniejącą także dzięki wspólnej pracy. Poprzez pracę, może bardziej niż poprzez jakiekolwiek inne działanie, istnienie indywidualne łączy się w byt narodowy, umacnia go i same czerpie z niego siły. Praca stanowi o duchowej i materialnej sile narodu, warunkuje rozwój jego kultury. W pracy objawia się ważna składowa narodowego charakteru. Upadek obyczajów w sferze pracy oznacza więc groźbę upadku narodu. Żadne pakt polityczne, żadne siły wojskowe nie uratują narodu, który przestał być wspólnotą pracy. Naród taki traci swoje miejsce w świecie, jego państwo ulega rozkładowi, jego kultura przetrada się w folklor, jego przestrzeń życiowa zostaje zajęta przez inne narody.

Świadomość, że upadek obyczajów w sferze pracy stanowi dla narodu polskiego zagrożenie egzystencjalne jest dziś powszechna. Powszechna jest też wołanie o naprawę obyczajów w sferze pracy. Taka naprawa obyczajów wymaga ogromnego wysiłku duchowego, wspólnej pracy nad sobą wszystkich Polaków. Jednak aby wysiłek taki nie poszedł na marne potrzebne jest zrozumienie przyczyn, które spowodowały katastrofę, a następnie usunięcie wszystkich przeszkód, które uniemożliwiają dobrą pracę Polaków. Nawoływanie do naprawy obyczajów w sferze pracy bez usuwania tych przeszkód przyniesie może jedynie skutki odwrotne od zamierzonych. Nic bowiem nie działa bardziej demoralizująco niż roztrwonione zasoby idealizmu i dobrej woli. Artykuł niniejszy stanowi, jak autor ma nadzieję, przyczynek do zrozumienia naszej obecnej sytuacji w dziedzinie pracy.

Aby zrozumieć tę sytuację należy sięgnąć do okresu powojennego, kiedy to podjęta została próba zorganizowania pracy Polaków wedle zaupelnienia nowych wartości duchowych i materialnych. Przed tym okresem praca naszego narodu zorganizowana była za pośrednictwem systemu motywacyjnego ukształtowanego przez stulecia w obszarze funkcjonowania cywilizacji łacińskiej. Na system ten składały się: religia, moralność, korzyść własna i przyjemność. Wszystkie te

bodźce skłaniające jednostki do rzetelnej i wydajnej pracy były ze sobą głęboko powiązane i nierozdzielne. Ze względu na swoje nieskończone bogactwo i różnorodność działały one w zróżnicowany sposób na indywidualne jednostki umożliwiając im tworzenie wspólnoty ludzkiej poprzez pracę. Ważne jest aby zrozumieć, że bodźce te działały właśnie na jednostki, i że właśnie poprzez te bodźce jednostki łączyły się we wspólnoty. W cywilizacji łacińskiej wspólnota poprzez pracę nie była wspólnotą wyłącznie ludzką. Była to wspólnota ludzka z Bogiem jako celem i warunkiem i ze światem jako powierzonym gospodarstwem. Ze względu na powiązania między różnymi bodźcami skłaniającymi jednostkę do rzetelnej i wydajnej pracy trudno jest omawiać te bodźce oddzielnie. Spróbujemy jednak rozważyć je po kolei na ile to będzie możliwe.

Motywacja religijna posiada wiele wymiarów i wiele warstw. Odzwierciedlają one złożoność, głębię i wielkość egzystencji ludzkiej, jej dynamikę i wewnętrzne sprzeczności, jej sens. Pokazują drogę jaką człowiek ma do przebycia na ziemi, pokazują ją różne dla różnych ludzi. Jest więc praca z jednej strony związana z wygnaniem z raju. Człowiek musi w trudzie zdobywać środki na własne utrzymanie. A więc praca jest karą, którą musimy odbyć. Ale już gdy myślimy o pracy jako o krzyżu, pokucie, modlitwie staje się ona naszym ratunkiem, trawą rzuconą nam przez Opatrzność po katastrofie okrętu, źródłem nadziei. Kolejne aspekty religijne pracy odkrywamy gdy zastanawiamy się nad światem jako powierzonym człowiekowi gospodarstwem. Musimy tu myśleć o odpowiedzialności za powierzone nam gospodarstwo. Ziemię mamy czynić sobie poddaną, ale nie wolno nam jej niszczyć. Bóg uczynił nas panami świata, ale nie konstruktorami. Dlatego mamy prawo ulepszać nasze gospodarstwo tak aby nam służyło, mamy prawo odkrywać coraz to nowe jego tajemnice. Nie wolno nam jednak go niszczyć, ponieważ nie potrafimy go stworzyć. Odkrywanie kolejnych tajemnic świata, poznawanie jego piękna, cieszenie się nim, bo świat jest dobry, to jeszcze inna strona religijnej motywacji pracy. Każda praca może być twórcza, każda praca może dawać szczęście, każda praca może poprzez piękno ludzkich dzieł być radosnym chwale-

Część I

niem Boga. Gdy mówimy o czynieniu sobie ziemi poddaną powinniśmy pamiętać, że to ziemia ma być poddana człowiekowi, a nie inny człowiek. Człowiek ma być wolny aby mógł swobodnie sprostać losowi jaki mu przypadł w udziale.

Nawet tak pobieżne spojrzenie na religijną motywację pracy wskazuje, że motywacja ta związana jest z wszystkimi pozostałymi bodźcami skłaniającymi człowieka do pracy i że wszystkie pozostałe, jeśli są autentyczne są motywacją religijną, choć niekoniecznie świadomie przeniknięte.

Motywacja moralna nakazuje pracować wydajnie i rzetelnie ze względu na ludzi, dla których przeznaczone są wytwory naszej pracy. Moralność nakazuje nam nie tylko rzetelnie traktować pracę własną, ale także uczciwie wynagradzać pracę cudzą. Tu rozważyć trzeba kwestię sprawiedliwości, a więc także sprawiedliwej oceny wartości pracy w stosunkach między ludźmi. Postawowym nakazem jest tu traktowanie innego człowieka jako naszego celu, a nie jedynie jako środka do naszych celów. Człowiek nie może być niczym narzędziem produkcji. Żaden człowiek nie ma więc prawa nie tylko zabierać cudzej pracy, czy jej owoców, ale nawet dowolnie określać jej wartości. Moralność nakazuje więc respektownie pełnej wartości jednostek w sferze pracy. Poprzez ideę sprawiedliwej zapłaty za pracę motywy moralne pracy wiążą się z motywami materialnymi, a także z przyjemnością płynącą z pracy, ponieważ wyższe wynagrodzenie może uczynić pracę przyjemniejszą z subiektywnego punktu widzenia. Ponadto motywy moralne są na wiele sposobów powiązane z motywami religijnymi pracy, przede wszystkim jednak dlatego, że w religii chrześcijańskiej Bóg jest transcendentnym warunkiem moralności.

Korzyść własna jest materialnym bodźcem skłaniającym jednostkę do rzetelnej i wydajnej pracy. Pewnego rodzaju korzyści np. zysk czy płacę można mierzyć. Jednak decyzja, czy warto dla danego zysku, czy za określone wynagrodzenie pracować pozostaje zawsze subiektywną. Decydują tu pozostałe motywy skłaniające człowieka do pracy. Ktoś więc gotów jest zadowolić się małym zyskiem, czy niewielkim zarobkiem, ponieważ lubi daną pracę, czy ponieważ uważa, że powinien ją wykonać, czy dlatego, że traktuje ją jako karę za swoje grzechy. Szczególnie ważki związek między korzyścią własną a moralnością i religią uwidacznia się gdy rozważamy sprawę sprawiedliwego zysku, czy sprawiedliwego wynagrodzenia za pracę. Cywilizacja łacińska w drodze swojego rozwoju oparła się na obiektywnym kryterium podziału dochodu narodowego, czy społecznego — na kryterium rynkowym. Człowiek otrzymuje tyle, ile jest jego praca warta na rynku. Jeśli ze względu na brak szczęścia, czy z innych powodów otrzymuje zbyt mało ma prawo ubiegać się u innych o rekompensatę, do której są oni zobowiązani (na zasadzie dobro-

wolności) ze względów moralnych i religijnych. Jednak rekompensata nie jest wmontowana w mechanizm ekonomiczny i nie wynika z zasady sprawiedliwości, która jest abstrakcyjna i oparta na kryteriach obiektywnych. Kryterium rynkowe oceny wartości pracy poddawane było wielokrotnie krytyce jako niesprawiedliwe, jak powiadano, społecznie. Kryterium to bywało zastępowane przez subiektywne kryteria podziału dochodu narodowego. Pomijając wszelkie ekonomiczne skutki ujemne jakie wprowadzenie sprawiedliwości dystrybucyjnej przynosiło, była ona niezgodna z zasadą suwerenności jednostki nad własną pracą. Ponieważ owoce pracy określane są poprawnie jako własność, suwerenność jednostki nad własną pracą oznacza poszanowanie dla własności. Prawne usankcjonowanie własności w cywilizacji łacińskiej oznacza, że jednostka ma prawo do konsumpcji owoców własnej pracy i otrzymanych w darze, czy na innej prawnej drodze owoców pracy cudzej, oznacza również, że jednostka posiada prawo do gromadzenia środków produkcji i kapitału i zarządzania nimi wedle własnej woli. Te idee stały się pożywką dla rozwoju kapitalizmu, który stanowi koronę cywilizacji łacińskiej. Kapitalizm przyczynił się do niezrównanego wzrostu bogactwa narodów. Kapitałisci kierujący się wszystkimi czterema motywami pracy nastawieni byli na produkcję bogactwa, a nie na konsumpcję bogactwa. Ich konsumpcja ograniczana była względami religijnymi, moralnymi, potrzebą inwestowania.

Czwarty bodziec skłaniający człowieka do rzetelnej i wydajnej pracy — przyjemność — jest powiązany z wszystkimi innymi bodźcami na wiele sposobów. Religia nakazuje nam cieszyć się z życia, a więc powinniśmy starać się aby praca stanowiła w miarę możliwości przyjemność. To można często powiedzieć o pracy twórczej, ciekawej. Ale i praca mało interesująca może sprawiać przyjemność jeżeli jest odpowiednio wysoko wynagradzana, albo jeżeli motywy do niej skłaniające są podniosłe.

Wszystkie opisane wyżej bodźce skłaniające człowieka do pracy, działają na jednostkę. I dopiero jednostki kierujące się tymi motywami budują wspólnotę pracy czy to narodową, czy to regionalną, czy międzynarodową. Im większa jest wolność jednostek, im rozleglejsza przestrzeń do działania zostawia im społeczeństwo, tym większe są osiągnięcia, tak duchowe jak i materialne wspólnoty, tym piękniej rozkwita powierzone wspólnocie przez Boga gospodarstwo.

Cywilizacja łacińska okazała się być cywilizacją, w której jednostki mogły rozwinąć się najpełniej, dzięki czemu rozkwitły także narody i społeczeństwa. Rozwój cywilizacji łacińskiej w sferze pracy nie był ani łatwy ani oczywisty. Nie zawsze cztery omawiane przeze mnie motywy rzetelnej pracy mogły w pełni oddziaływać na ludzi. Bardzo długo np. motywy ekonomiczne nie działały prawidłowo ze względu na istniejące przywileje pewnych grup społecznych. Te same przywileje były źródłem poważnych zakłóceń moralnych i religijnych w sferze pracy. Stopniowo jednak motywacja pracy wśród ludzi zrzeszonych za pośrednictwem cywilizacji łacińskiej stawała się coraz pełniejsza. Nigdy jednak cywilizacja łacińska nie posiadała automatycznych gwarancji istnienia. Zawsze opierała się ona i opiera nadal na wierze jednostek w wartości, które stawały się w ten sposób motywami skłaniającymi do rzetelnej i wydajnej pracy. Wszystkie te wartości z wartościami religijnymi na czele stanowią jedną

całość i pominięcie jakiegokolwiek z nich stanowi na dłuższą metę poważne zagrożenie dla innych, a tym samym poważne zagrożenie dla samej cywilizacji.

Od wielu już lat najpoważniejszym zagrożeniem dla systemu pracy cywilizacji łacińskiej jest odchodzenie ludzi od Boga, a tym samym osłabienie religijnej i moralnej motywacji pracy. Motywacja religijna i moralna zastępowane są motywacją ideologiczną. Kościół katolicki podkreśla szczególnie złowrogi wpływ dwóch ideologii: konsumpcjonizmu i socjalizmu.

Konsumpcjonizm jest ideologią powstałą na Zachodzie. Wiąże się on osłabieniem religijnych i moralnych bodźców do pracy i nadmiernym rozwinięciem motywów korzyści własnej i przyjemności. Ponieważ praca nie może być jedynie przyjemnością, a bywa męką, ideologia konsumpcjonistyczna stawia systemowi pracy cele, których ten nie jest w stanie zrealizować. Z kolei nadmierne pożądlivość dóbr materialnych prowadzi do naruszenia zasady sprawiedliwości i panowania nad owocami własnej pracy. Ponieważ motywy religijne i moralne nie hamują już ludzi przed naruszającymi cudzą własność roszczeniami, ekonomia rynkowa ulega dezorganizacji, a podział dochodu narodowego w coraz wyższym stopniu dokonywany jest przez walczących ze sobą polityków, reprezentujących różne interesy. Jeśli nawrót uczuć religijnych, a przynajmniej oparty na nich pośrednio instynkt moralny nie powstrzymają tego procesu, kraj opanowany przez ideologię konsumpcjonistyczną znajdzie się w niedługim czasie na prostej drodze prowadzącej do socjalizmu.

Kościół często mylnie utożsamia konsumpcjonizm z kapitalizmem biorąc w tym wypadku chorobę za chorego. Kapitalizm pełny — oparty na wszystkich czterech wymienionych powyżej motywach pracy jest najdorodniejszym owocem cywilizacji łacińskiej. Konsumpcjonizm to nędzna skórka z tego owocu — to co pozostaje gdy zgnije wnętrze, które stanowi wiara w Boga i zasady moralne. Różnice między kapitalizmem a konsumpcjonizmem najlepiej widać gdy porówna się bogactwo, czyli kapitał z konsumpcją, czyli zużyciem kapitału. Kapitalizm pozwala na produkcję bogactwa. Produkcja bogactwa wymaga od kapitalisty ograniczenia własnych potrzeb w imię inwestowania, w imię produkowania dalszego bogactwa, z którego potem mogą korzystać inni np. dzięki otrzymaniu dobrze płatnych miejsc pracy. Produkcja bogactwa wymaga więc wielkich sił duchowych. U wielu wybitnych kapitalistów siły te brały się z inspiracji religijnej. Konsumpcjonizm to postawa, która nie może realizować się inaczej jak przez zużywanie bogactwa. Ponieważ u konsumpcjonistów motywy religijne i moralne są na ogół w zaniku, konsumpcjonizm stanowi prostą drogę do socjalizmu. Gdy konsumpcjonista zużyje własne zasoby sięga chętnie po zasoby cudze.

Socjalizm jest w pewnym sensie konsekwencją konsumpcjonizmu, chociaż stanowi odrębną i pełniejszą ideologię. Socjalizm powstaje w kraju, w którym odrzucone zostają zasady gospodarki rynkowej. W takim kraju korzyść własna jako motyw pracy zostaje odrzucona i zastąpiona rozkazem i przymusem. Ponieważ jak wiadomo gospodarka socjalistyczna źle funkcjonuje, również czwarty motyw rzetelnej i wydajnej pracy — przyjemność przestaje skłaniać ludzi do działania.

**DOKOŃCZENIE W
NASTĘPNYM NUMERZE**

TADEUSZ HEINRICH

ZAPOMNIANA DOKTRYNA

LATA 1817-27 były okresem największej ekspansji terytorialnej, głównie kosztem posiadłości hiszpańskich, Stanów Zjednoczonych. Prezydentem w tym okresie czasu był James Monroe. Przyjął on do Unii sześć nowych stanów i odkupił od Hiszpanii Florydę. Równocześnie wzrastający wśród kolonii hiszpańskich ruch narodowy doprowadził do ogłoszenia niepodległych państw. Hiszpania zwróciła się do tzw. Świętego Przymierza, utworzonego na Kongresie Wiedeńskim dla utrzymania istniejącej wówczas w Europie struktury społecznej, prosząc o pomoc. W odpowiedzi prezydent Monroe, w orędziu do Kongresu Stanów Zjednoczonych (grudzień 1823 r.) oświadczył, że jakakolwiek ingerencja w sprawy byłych kolonii hiszpańskich będzie uważana za „nieprzyjazne ustosunkowanie się do Stanów Zjednoczonych”. W ten sposób powstała tzw. doktryna Monroe (choć właściwym jej twórcą był sekretarz stanu John Quincy Adams), na której oparta była, aż do dnia dzisiejszego, polityka zagraniczna Stanów Zjednoczonych. Warto przypomnieć kilka etapów tej polityki.

W 1847 r. rewolucja w Meksyku doprowadziła do powstania „nieprzyjaznego” (*unfriendly*) rządu. Spowodowało to zbrojną interwencję Stanów Zjednoczonych, która zakończyła się okupacją Meksyku, ustanowieniem „przyjaznego” rządu i przyłączeniem do Stanów Zjednoczonych części terytoriów Meksyku znanych dziś jako stany New Mexico, Arizona i Texas. Była to pierwsza przestroga dla krajów Ameryki Południowej i Środkowej, jakie jest dla nich prawdziwe znaczenie doktryny Monroe.

W 1858 r. postowie Stanów Zjednoczonych w Londynie, Paryżu i Madrycie zjechali się w Ostendzie i ogłosili komunikat: o ile Hiszpania nie sprzeda Stanom Kuby, będą one uprawnione do okupacji wojskowej wyspy. Na skutek protestów państw europejskich, posłowie zostali zdezawuowani. Deklaracja okazała się jednak użytecznym dokumentem podczas wojny o niepodległość Kuby.

W roku 1895, na skutek znanego w historii dyplomacji zatargu pomiędzy Wielką Brytanią i Wenezuelą, Stany Zjednoczone, powołując się na doktrynę Monroe, narzuciły ustalenie granicy pomiędzy posiadłościami brytyjską Gujaną i Wenezuelą. Chodziło tu o podkreślenie faktu, że wszelkie decyzje w tej części świata zależą wyłącznie od Stanów Zjednoczonych. W 1898 r. Waszyngton przypomniał sobie o istnieniu memoriału z Ostendy i wysłał wojska na Kubę, oczywiście z pomocą dla powstańców walczących o niepodległość. Wojsko amerykańskie pozostało na Kubie, z

małą przerwą w 1934 r., aż do chwili, kiedy rewolucja Fidel Castro zmusiła je do wycofania się.

W roku 1899, na skutek protestu Boston United Co., że rząd Costa zaczyna mieć zbyt daleko idące pretensje do niezależności, Waszyngton wysłał do Kostaryki oddział marynarki, który zapewnił amerykańskiej firmie decydujący wpływ na rząd.

Operacje w Kostaryce a później w Panamie, dały początek tzw. „dollar policy” tzn. zapewnienia kontroli politycznej i gospodarczej uzyskując „przyjazne” ustosunkowanie się rządów. W razie potrzeby nie wahało się użyć zbrojnej interwencji. Haiti i San Domingo zostały z kolei zajęte przez wojska amerykańskie. Od roku 1912, oddział marynarki okupował Nikaraguę, gdzie został aż do r. 1933, tzn. do czasu wprowadzenia i ustalenia znieprawdzonej później dyktatury rodziny Somozów. W 1903r. tzw. *Platt amendment*, podpisany w Hawanie, przyznał rządowi w Waszyngtonie prawo interwencji na Kubie, nie tylko politycznej ale również i wojskowej. Jako pretekst, jak zawsze, podano obronę interesów miejscowej ludności.

Woodrow Wilson nie pozostał w tyle. W 1914 r. wysłał wojska do Meksyku (powołując się na doktrynę Monroe) i zmusił rewolucyjny rząd do ustąpienia. W r. 1916 gen. Pershing, późniejszy głównodowodzący wojsk amerykańskich w Europie, objął dowództwo nad armią mającą za zadanie złapanie nowego prezydenta Pancho Villa. Ekspedycja nie przyniosła spodziewanych rezultatów. Pancho Villa uciekł w góry, gdzie cała ludność stanęła po jego stronie. Sprawa została załatwiona ugodowo. Był to pierwszy wyłom w doktrynie Monroe. Po podpisaniu Traktatu Wersalskiego, wbrew głoszonej przez prezydenta Wilsona zasadzie o samostanowieniu narodów, wojska amerykańskie okupowały w dalszym ciągu Kubę, Nikaraguę, Republikę Dominikańską, Haiti i Panamę.

Nieśmiałe próby zmiany

Prezydent Roosevelt zdał sobie sprawę, że popieranie i narzucanie siłą skrajnie prawicowych ustrojów, opartych zazwyczaj o wojskowe junty, wywołało zdecydowanie wrocie wobec Stanów Zjednoczonych stanowisko miejscowej ludności. Roosevelt postanowił rozluźnić i częściowo zamaskować „dollar policy”. Zrezygnował oficjalnie z praw przyznanych mu przez *Platt Amendment*. Wycofał (chwilowo) wojska z Kuby i Haiti. Nie przeszkodziło mu to w poparciu i uznaniu w Brazylii (pomimo, po raz pierwszy, silnych protestów ze strony państw europejskich) faszystowskiej dyktatury, opartej o wzory hitlerowskie.

Jak taki stan rzeczy mógł istnieć przez przeszło 100 lat nie wywołując protestów ze strony innych państw? Pamiętam, jak w roku 1947 prof. uniwersytetu w Harwardzie miał wykład o polityce zagranicznej Stanów Zjednoczonych w paryskiej Szkole Nauk Politycznych. Podkreślał on fakt, że aż do końca drugiej wojny światowej Ameryka żyła w izolacji. Flota brytyjska, która wówczas panowała na morzach całego świata, była ekranem zapewniającym Ameryce całkowite bezpieczeństwo. Pozwoliło to na wprowadzenie w życie doktryny Monroe. Ekspansja europejska poszła w kierunku Afryki i Azji. Ameryka była daleko, i co się tam działo, mało kogo w Europie obchodziło. O doktrynie Monroe,

za wyjątkiem studentów historii, wszyscy zapomnieli. Nie zapomnieli o niej jednak mieszkańcy Ameryki Łacińskiej.

Wzmoczenie aspiracji do niepodległości

Po wojnie dążność do pozbycia się narzuconych reżimów i zmiany struktury społecznej nie osłabła. Rewolucjoniści nagle znaleźli sprzymierzeńca. Starając się związać Stany Zjednoczone na kontynentach amerykańskich i osłabić ich ekspansję w innych częściach świata, państwa bloku sowieckiego ofiarowały pomoc amerykańskim ruchom niepodległościowym. Polityka amerykańska znalazła się w impasie. W Gwatemali wprowadzono siłą rząd „przyjazny”. Pomimo to walki trwały tam aż do dzisiejszego dnia. Na Kubie nie udało się to. Był to drugi, tym razem zasadniczy, wyłom w doktrynie Monroe. Nowa sytuacja wymagała zmiany polityki.

Pomimo to, opierając się na przestarzałej doktrynie, usiłowano nadal przeciwstawić się siłą wszelkim zmianom struktury społecznej i politycznej. Stany Zjednoczone nie potrafiły zjednać sobie przyjaciół w Ameryce Południowej. Zapomniano, że rewolucje nie rosną jak gruszkki na drzewach i że zawsze mają oparcie w wadliwej strukturze społecznej i w ruchach narodowych. Zrozumieli to Lenin, Stalin i nowa generacja komunistów. Nie wydaje się, ażeby zrozumieli to kierownictwo powojennej polityki Stanów Zjednoczonych. Uwierzono, że jedynie propaganda sowiecka domaga się obalenia dyktatur. Dlaczego mieszkańcy Ameryki Łacińskiej nie zbuntowali się wcześniej (często słyszę to pytanie)? Otóż stwierdzić należy, że od przeszło 100 lat dążą oni do zmiany ustroju i do niezależności politycznej, do czego Stany Zjednoczone nie dopuściły, nie wahały się użyć siły. Mahatma Ghandi kiedyś powiedział Anglikom: nie możecie zrozumieć, że my wolimy mieć zły rząd ale za to swój własny, niż najlepszy obcy.

Przykład Nikaragui

Najlepszym przykładem jest Nikaragua. O ustanowieniu znieprawdzonej przez ludność dyktatury rodziny Somoza wspominaliśmy powyżej. Nie trzeba zapominać, że zbrojny opór ludności zaczął się bezpośrednio po zakończeniu pierwszej wojny światowej, kiedy to o międzykontynentalnej ekspansji Rosji sowieckiej nikomu jeszcze się nie śniło. Fidel Castro jeszcze się wówczas nie urodził. Trudno go winić za rewolucyjne dążenia ludności. Czy można poważnie twierdzić, że w tym czasie ludność pod wpływem komunistów rozpoczęła wojnę ze Stanami Zjednoczonymi? (Sandino został zabity w 1934 r.) Czy nie prościej jest przyjąć, jak to twierdzą Sandiniści, że chcieli oni zmienić społeczną strukturę kraju dla poprawienia warunków życia ludności?

Jest rzeczą charakterystyczną że prawie wszyscy, którzy pojechali przekonać się na miejscu o sytuacji w Nikaragui, wrócili z jak najlepszym wrażeniem.

Czytelnikom władającym językiem angielskim polecamy książkę znanego pisarza pochodzenia hinduskiego Salmon Rashdie: *The Jaguar Smile*. Bardzo ciekawe są również korespondencje z tej części świata w londyńskim *Catholic Herald*.

Z tej obszernej literatury postaram się wyciągnąć kilka zasadniczych punktów: Amerykanie twierdzą, że ludność Nikaragui jest

przeciwko rządowi. Cała znana mi literatura i korespondencje w znanej mi prasie twierdzą, że jest inaczej. W Nikaragui, w okęgach zagrożonych przez Contras, cała ludność jest uzbrojona. Mężczyźni i kobiety nie rozstają się z karabinami i pistoletami maszynowymi. Jak dotychczas nie stwierdzono ani jednego wypadku użycia tej broni przeciwko rządowi. Natomiast jest ona stale używana we własnej obronie, gdyż Contras bez przerwy atakują i mordują ludność cywilną. W okęgu granicznym nad morzem Karaibskim Contras starają się wybić lekarzy, widząc w tym jedną z dróg do destabilizacji reżimu. Nie trudno sobie wyobrazić co by się stało, gdyby uzbrojono dużą część ludności w krajach europejskich. Np. we Francji lub Anglii. Nic nie wskazuje na to, żeby — jak twierdzi Waszyngton — cała ludność Nikaragui nienawidziła rządu i chciała za wszelką cenę obalić go siłą.

Poważnym argumentem jest stanowisko Kościoła Katolickiego w tej części świata. Niedawno był w Londynie kardynał Paulo Evaristo Arns, OFM, arcybiskup Sao Paulo, i wygłosił odczyt na temat sytuacji w Brazylii pt. „Ludzie, ubóstwo i postęp”. Dawno nie słyszałem bardziej zdecydowanego potępienia dyktatury opartej o wojskową juntę i krytyki interwencji USA w sprawy wewnętrzne Brazylii. Ojciec O'Connell mieszkający w Paragwaju, zamieścił w londyńskim *Catholic Herald* artykuł, w którym stanowczo zaprzeczył twierdzeniom prez. Stroessneta wobec amerykańskiej komisji parlamentarnej, że rząd stara się przywrócić ludności prawa obywatelskie i podkreślił, że cały episkopat stoi na tym samym stanowisku.

Ostatnio delegacja księży katolickich udała się do Waszyngtonu (vide *Catholic Herald*) celem przeciwstawienia się próbom przekonania Kongresu Stanów Zjednoczonych przez rząd Kostaryki, że w kraju nie panują rządy policyjne. Podobna sytuacja zaistniała w Gwatemali, jednym z najbardziej krajów na świecie, gdzie od r. 1956 istnieje silna partyzantka, ulegająca coraz bardziej wpływowi lewicowemu. Dodać należy, że międzynarodowa organizacja *Amnesty International* całkowicie potwierdza powyższe informacje. W Nikaragui księża są po stronie Sandinistów, natomiast większość biskupów, prawie wszyscy mianowani jeszcze za czasów Somozy, zalicza się do najbardziej reakcyjnych w Ameryce Łacińskiej. W jednym z ostatnich numerów *Catholic Herald* ukazał się na pierwszej stronie artykuł powtarzający informacje, które wyszły na powierzchnię podczas dochodzeń w sprawie tzw. *Irangate*, według których płk. North regularnie przekazywał pieniądze na konto arcybiskupstwa Nikaragui wzamian za pomoc w destabilizacji rządu Sandynistów. Pieniądze były przekazywane przez kurierów Contras. Aż do rozpoczęcia sprawy *Irangate* przekazano przeszło 125.000 dol. Nie ustalono czy Prymas Nikaragui o tym wiedział. Wydaje się, że Watykan jest w trakcie zmieniania swej polityki. Nowy nuncjusz papieski w Nikaragui, który przyjechał tam z początkiem roku, zajął stanowisko ugodowe i rozpoczął rozmowy z rządem, które zdaniem ambasadora Nikaragui w Londynie F. D'Escotto, miały już przynieść pozytywne rezultaty.

Wojna czy kompromis?

Brak miejsca nie pozwala na rozwinięcie tego tematu, tak że czas jest na próbę wyciągnięcia wniosków z tych uwag.

Próbę konkluzji można znaleźć w wydawnictwach „The International Institute for Strategic Studies: *Strategic Survey* 1986/87 i dwumiesięczniku *Survival* (marzec/kwiecień 1987). Rozważając sytuację międzynarodową IISS dochodzi do wniosku, że brak stabilizacji w Ameryce Łacińskiej, a przede wszystkim w Ameryce Środkowej, jest równie groźny dla pokoju na świecie jak i sytuacja na Bliskim Wschodzie. Centralnym zagadnieniem jest Nikaragua. Instytut stwierdza, że próby narzucenia siłą rządów zakończyły się niepowodzeniem. Zarówno Contras jak i rządy ustanowione w Salvadorze, Kostaryce i Gwatemali nie potrafiły przekonać ludności, że działają w interesie przywrócenia demokracji i poprawy struktury społecznej. Jedynym wyjściem z tej sytuacji jest doprowadzenie do ugody regionalnej, która brałaby pod uwagę interesy wszystkich zainteresowanych. Możliwość takiej ugody jest uzależniona od pokojowego rozwiązania konfliktu w Nikaragui.

Zdaniem IISS przed polityką Stanów Zjednoczonych stoją trzy możliwości:

1) Bezpśrednia interwencja wojskowa: doprowadzi ona do usunięcia rządu Sandinistów i rozpoczęcie nową wojną domową w Ameryce Środkowej. W rezultacie Kuba uzyska nowy pretekst do interwencji, a wiarygodność Waszyngtonu w świecie zostanie na zawsze pogrzebana. Infiltracja komunistyczna znajdzie w oczach ludności pełne uzasadnienie. Wszelkie możliwości stabilizacji w tej części świata zostaną zaprzepaszczone.

2) Prowadzenie w dalszym ciągu obecnej polityki: tzw. stosowanie presji i powstrzymywanie (*coertion and containment*). Polityka ta, prowadzona od zakończenia ostatniej wojny nie przyniosła dotychczas żadnych rezultatów. Popularność rządów w Salvadorze i Gwatemali stale się zmniejsza. Ruch Contra słabnie pomimo setek milionów wydanych jego na jego poparcie. Nic nie wskazuje na to, że zdola on obalić rząd w Nikaragui. Jedynym rezultatem kontynuowania tej polityki będzie zwiększenie kosztu w życiu i cierpieniu ludności, brak stabilizacji i zahamowanie rozwoju gospodarczego w Ameryce Środkowej. Nie trudno wyobrazić sobie, jak zareaguje na to ludność.

3) Kompromis: jest to jedyne, zdaniem IISS rozwiązanie które ma jeszcze pewne szanse powodzenia. Rządy w Salvadorze, Gwatemali i Kostaryce, zagrożone przez partyzantkę, z którą, nawet przy daleko idącej pomocy Stanów Zjednoczonych, nie mogą sobie dać rady i przez rosnącą presję ze strony skrajnej prawicy oraz wojska dążą do takiej umowy za wszelką cenę. Warunkiem rozpoczęcia rokowań jest uznanie za partnera rządu w

(DOKOŃCZENIE NA STR. 11)

Nowość! Nowość!

MAREK CELT
(CHCIUK)

BIALI KURIERZY

Zbeletyzowane wspomnienia kuriera ZWZ kursującego na początku r. 1940 między Budapesztem a okupowaną Małopolską Wschodnią.

Groza aresztowań i wywózek, postawa ludności, dramatyczne dzieje kurierów. Wiele dialogów w „balku” lwowskim.

380 str., 29 zdjęć, mapa kurierska.
Cena — DM 38.00 lub równowartość.

Skład główny:

Marek Celt, Nikolaus Mueller Str. 13
8033 PLANEGG, WEST GERMANY

KRZYSZTOF L. NOWAK

Adwokat Prawny na Stan New Jersey
1 Pennsylvania
200 Perrine Rd. Suite 209
Old Bridge Professional Plaza
Old Bridge, NJ 08857
(201) 679-3800
546 Hamilton str.
Allentown, PA 18101
(215) 437-1100

Załatwiamy sprawy ligracyjne, wypadki samochodowe i w pracy, kupno i sprzedaż domów, interesów, testamenty, rozwody: mimo że jedna strona jest w Polsce, wszelkie sprawy cywilne i kryminalne, itd. Generalna pralika prawna.

SPÓR O KOBIETĘ

NA MARGINESIE nowej Encykliki Papieża o Matce Boskiej ożywiła się dyskusja na temat wyświęcania kobiet na księży. I to nie tylko w kościele anglikańskim. Istnieją silne grupy katolickie, które uważają tę sprawę za swoją misję, jako konieczną obronę praw kobiety.

Encyklika wymagałaby specjalnego, szerszego omówienia. Ale jej cel jest właśnie przeciwny: Zbawienie Człowieka (tj. kobiety i mężczyzny), a nie podsyćanie sporów i dzielenie ludzkości na dwa wrogie obozy: mężczyzn i kobiet.

Istnieje „ruch” pretendujący do stanowiska chrześcijańskiego, który naśladuje ściśle sposoby lewicy ateistycznej: usurpuje sobie przywileje „naukowości” i postępowości, w imię którego atakuje rzekomo przestarzałe i nieaktualne zasady, starając się „zreformować” Kościół przez „zdemokratyzowanie” i zliberalizowanie. Nieraz wprost sugeruje, że sam Pan Bóg lepiej by zrobił, gdyby poradził się „opinion polls” w sprawie Swojej Nauki.

Ta „nowa Reformacja” skrupulatnie proklamuje swoją pobożność i wierność Chrześcijaństwu i stara się udowodnić, że jest o wiele bardziej katolicka, niż sam Papież. W istocie należy ona do dużo szerszego ruchu, który ma cele wojujące antyreligijne. Który popiera „rodziny” bez ojca (one parent family), „małżeństwa” lesbijskie lub homoseksualne, „feminizm”, „wolność wyboru” tzw. stylu życia (czyli ulegitymizowanie zbrodni płciowych i rozwiązłości) i indyferencję moralno-religijną. Ruch ten podcina to wszystko pod sztandar Humanizmu i ofiarowuje swoje hasła jako artykuł zastępczy religii.

Zbawienie, zarówno w znaczeniu religijnym jak i potocznym, oznacza uratowanie od wszelkiego zła, a zwłaszcza od śmierci. Ideaty „humanizmu świeckiego” nie tylko nie spełniają tego znaczenia, ale przeciwnie, prowadzą do gigantycznego wzmocnienia fali okropności zalewającej nowoczesne życie, której ukoronowaniem i usymbolizowaniem jest plaga AIDS. Zbawienie znajduje się po przeciwnej stronie. Jest to strona prawdziwie „ludzka”, ponieważ broni rzeczywistego człowieka, a nie fikcyjnego, sztucznego wyobrażenia według wiary „humanistycznej”.

CZŁOWIEK nie jest abstrakcją, zlepkiem zmysłowych wrażeń, instynktów, pożądań. Rodzi się bezradny i słaby, wymaga długiego okresu opieki i wychowania, przygotowania do trudnych i niebezpiecznych zadań, jakie mu przynosi dorosłe życie i ostatecznie przyjęcia i godnego spełnienia nieuniknionego „obowiązku” starości i śmierci. Czy się chce, czy nie chce, społeczeństwo narzuca każdemu ten standart i tylko w jego ramach można mówić o sprawach ludzkich. „Równouprawnienie kobiet”, zniesienie kary śmierci, zabronienie kary cielesnej w szkołach, „tolerancja” wobec zbrodni, kondony przeciw pladze, aborcja, to wszystko są próby ominięcia rzeczywistości ludzkiej, próby wmówienia w nas, że abstrakt „humanistycznego” życia, zdefiniowany dla nas przez „Strażników Republiki” musi być przyjęty jako obowiązująca miara i wypełniany w praktyce, czy tego pragniemy, czy nie.

Platon w swojej *Republice* próbował stworzyć podobny wzór świeckiego życia, społeczeństwa lu-

dzi-bogów. Jego wizja nie przyjęła się; próby nawet częściowego jej stosowania kończyły się zawsze fiaskiem. Pomimo to kusi ona wielu do dzisiaj, ponieważ zdaje się ofiarowywać możliwość zaspokojenia osobistych słabości i żądz w rzekomo idealnym porządku życia zbiorowego. Stąd ciągle nawroty do wzorów platońskich i ciągle rozczarowania wynikami, jak to widzimy w praktyce rządów „lewicy”.

Człowieczeństwo oznacza podział na mężczyznę i kobietę. Jest to rzeczywistość i podstawowy fakt. Im bardziej kobieta jest kobietą, a mężczyzna mężczyzną tym lepiej zostaje spełniona rzeczywistość człowieczeństwa. Mężczyzna

zniewieścił i kobieta pozująca na mężczyznę, to nie są wzory pożyteczne ani cenne w życiu społecznym. Naturalne zadania, niezbedne dla zachowania gatunku, są bardzo różne i wymagają różnic nie tylko anatomiczno-fizjologicznych, ale i psychicznych. Również i rola w rodzinie te różnice i ich wartości potwierdza i umacnia. Nawet i w społeczeństwie ten podział jest dobroczynny i owocny. Zacieranie różnic i podsyćanie współzawodnictwa, czy rywalizacji płci jest więc działaniem antyspołecznym, antyludzkim. Usprawiedliwianie zaś takiej akcji celami rzekomej postępowości jest nieporozumieniem.

CHRZĘŚCJAŃSTWO wyniosło wysoko rolę i znaczenie kobiety. Przykład Matki Boskiej uczynił ją przedmiotem szacunku, a nawet romantycznego uwielbienia. Średniowieczna rycerskość do dzisiaj zakorzeniona w kulturze europejskiej, cała nasza sztuka, od malarstwa do literatury pięknej i

muzyki, to jedna wielka pochwała kobiety. Dzisiejsi „humaniści” chcieliby zmienić to wszystko na „demokratyczną równość” i liberalistyczną swobodę seksualną jednostek ludzkich, „odpłciowionych” (przepraszam za wyrażenie) i wyzwolonych z tradycyjnych wartości moralnych i obyczajowych. Tam, gdzie im się to udaje, obserwujemy żalosne wyniki rozkładu i plag społecznych.

Na tym tle wyrasta sprawa kobiet-księży. Ale także i żonatych księży i ślubów kościelnych dla osób rozwiedzionych. Jest to próba „humanistycznego” wyłomu w chrześcijaństwie. Miary świeckie, rzekomo ludzkie, przeciw religijnym, objawionym przez Boga. Inne kryteria, inne ideały. Zrobienie z Boga tylko „symbolu” a z religii tylko surogatu doktryny politycznej. Zastąpienie kultu przedstawieniem teatralnym. Ubranie feminizmu i jego pochodnych w stroje religijne i wprowadzenie tylnymi drzwiami na scenę kościelną.

Służba kapłańska jest bardzo ciężkim obowiązkiem. Tak ciężkim, że na „miękkim” Zachodzie wciąż maleje ilość kandydatów do niej. Ci więc, którzy chcieliby widzieć ją jako przywilej, równy dla kobiet i mężczyzn oraz pozbawiony ograniczenia celibatu, rodzaj przyjemnego życia „na świeczniku”, rozumieją ją zupełnie inaczej, niż Chrystus Pan, który powołał dwunastu Apostołów i oddał klucze Swego Kościoła Piotrowi. A przecież był zrodzony przez Kobietę, którą wyniósł ponad wszystkich przywilejem najwyższym. Nie pomoże nic tłumaczenie, że przecież nie mógł On wówczas czytać historyzoficznych rozpraw dzisiejszych o ówczesnej roli kobiet i o dzi-

siejszym postępie demokratycznym.

Żeby przejść przez życie w sposób zadawalający, człowiek potrzebuje — niezbędnie — prawdziwej miłości. Inaczej — żyje jak na pustyni. Ta miłość zaczyna się u niego w dzieciństwie, gdy jest ona oparciem o rodziców i dom; wyrasta w związanie się z krajem ojczystym i narodem, z żoną lub mężem, z dziećmi wspólnie zrodzonymi. Z Bogiem, który jest Sam Miłością. Jeżeli w życiu zabraknie tej kultury miłości, człowiek staje się psychicznym kaleką i życie jego staje się męką. Zbawienie jest więc w Miłości, czy to się podoba humanitarystycznym hedonistom, czy nie. A Miłość, to jest podjęcie zobowiązania. Tylko w jej atmosferze Człowiek zdolny jest do takiego zobowiązania. Pozostawiony sam sobie wyrasta dziko i ginie.

KOBIETA więc jest początkiem tej kultury miłości, twórczynią domu i oparciem dla dzieciństwa. Dom jest przedsiönkiem Kościoła. Kościół, który wyrzeka się „przywileju” małżeństwa, porzuca dom dla służby Zbawieniu. Małżeństwo jest drogą tych, którzy spełniają rozkaz Boży mnożenia się i zapełniania ziemi i wypełniania przykazań. Takie jest znaczenie nauki Kościoła i w takiej tradycji wyrasta nasza kultura chrześcijańska. Ci, którzy ją pragną zastąpić innymi wartościami, niech nie próbują mieszać z nią tych wartości ani jej przerabiać na swoją modłę.

Przykładem tego, czym może być kobieta, jest dzisiaj Matka Teresa. A przecież ani nie jest ona, ani nie ma zamiaru być — księdzem.

TEZEUSZ

ZAPOMNIANA DOKTRYNA

Nikaragui, który — nie należy o tym zapominać — został wybrany w najbardziej demokratycznych wyborach, jakie miały dotychczas miejsce w Ameryce Środkowej. Układ taki będzie musiał zawierać gwarancje, że żadne z zainteresowanych państw nie stanie się bazą ekspansji jakiegokolwiek innego państwa. Trudno wyobrazić sobie, jak stworzona w takim regionalnym układzie niezależna Nikaragua mogłaby wyruszyć samodzielnie na wojnę ze Stanami Zjednoczonymi.

Jak dotychczas nic nie wskazuje na to, ażeby linia ta została wzięta pod uwagę w Waszyngtonie. Sprawa Nikaragui stała się, niestety, jednym z głównych elementów w kampanii przedwyborczej na prezydenta USA. Doktryna Monroe została ponownie wprowadzona w życie, kiedy 27 lipca ub.r. Międzynarodowy Trybunał w Hadze stwierdził, że nie ma żadnych

podstaw do uważania Nikaragui za napastnika (*aggressor*) i że interwencja USA jest sprzeczna z prawem międzynarodowym. Waszyngton oświadczył wówczas, że jurysdykcja Trybunału w Hadze nie ma mocy prawnej na terenie Północnej i Południowej Ameryki, i że nie uznaje jego orzeczeń. W numerze z dnia 19 czerwca br. londyńskiego dziennika *The Guardian* ukazała się informacja, że prezydent Reagan osobiście przeciwstawił się nowej inicjatywie kompromisu regionalnego przedstawionego przez prezydenta Kostaryki Arias'a z poparciem wszystkich rządów Centralnej Ameryki. Zgodzili się oni na wzięcie udziału w konferencji, która miała odbyć się 25 czerwca w Gwatemali z udziałem prezydenta Nikaragui Ortega. Powód: konferencja byłaby sprzeczna z polityką Białego Domu (szczególnie w okre-

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 10) sie sprawy *Irangate*), która dąży jedynie do rozwiązania problemu siłą przy pomocy Contras.

Czy rzeczywiście istnienie małego państwa, którego rząd jest oparty na zasadach lewicowych jest zagrożeniem dla pokoju? Dlaczego nie odnosi się to do marksistowsko-lewicowej Jugosławii, gdzie co roku jeżdżą na wakacje ultra prawicowi ludzie, lub do wyraźnie lewicowego rządu w Grecji?

Doktryna Monroe, zapomniana w dużej mierze w Europie, jest podstawą polityki Stanów Zjednoczonych od 164 lat. Jest to chyba najstarsza doktryna polityczna na świecie. Czy nie należałoby przypominąć sobie o innej amerykańskiej doktrynie politycznej, która walczy przyczyniła się do powstania Państwa Polskiego po pierwszy wojnie światowej? Doktrynę prezydenta Wilsona o samostanowieniu narodów.

TADEUSZ HEINRICH

Post Scriptum: Powyższe uwagi odbiegają od szablonych i często uproszczonych poglądów na te zagadnienia niektórych polskich czytelników. Poglądy te wywodzą się głównie z braku informacji. W związku z tym uważam, że należy przytoczyć główne źródła, na których oparty jest ten artykuł.

1. Książki. Literatura obejmuje szereg pozycji. Polecam: Salmon Rushdie — *The Jaguar Smile*, London 1987, wyd. Picador £2.95,

171 str. Dodatkowe informacje można uzyskać od „Catholic Institute for International Relations”, London, 22 Coleman Flds 1. Prof. F. L. Schoell (*Histoire des Etats Unis*, Paris ed. Plon. Najlepsza ze znanych mi historii St. Zjednoczonych: C. P. Hill — *History of the United States* (angielski podręcznik uniwersytecki), Edward Arnold (Publishers) London.

2. wydawnictwa IISS (The International Institute for Strategic Studies 23 Tavistock Street London WC2 m.in. *Strategic Survey* 1986/7 i *Survival* (March/April 1987). Wydawnictwa CAFOD i Amnesty International.

3. Periodyki: *Catholic Herald*, *The Economist* — tygodniki. *The Times*, *The Guardian*, *The Independent* — wydawane w Londynie i *Le Monde* (Paryż).

4. Rozmowy z Francesco D'Escotto ambasadorem Nikaragui

w Londynie i pielęgniarkami, które pracowały w Catholic International w Gwatemali (obecnie w Londynie)

Pozostaje sprawa źródeł finansów Nikaragui. Kraj jest zrujnowany przez wojnę i nie jest samowystarczalny. Głównymi

źródłami pomocy są Meksyk, później Argentyna, i częściowo kraje tzw. grupy z Contadory (do których należy Wenezuela), również Stany Zjednoczone. Zarówno szereg organizacji jak i jednostki starają się wynagrodzić straty poniesione na skutek pomocy amerykańskiej dla Contras. W 1986 r. pomoc ta wyniosła ok. 68 mln. dol. Dużo Amerykanów pracuje w Nikaragui za darmo z tych samych powodów (lekarze, pielęgniarki, inżynierowie). Kuba jest krajem zrujnowanym i nie może zapewnić stałej pomocy gospodarczej, natomiast niewątpliwie pomaga w wyekwipowaniu armii Nikaragui. T.H.

Nieregularny kwartalnik krajowy

**„POLITYKA POLSKA”
NR 5/6**

Str. 220. Cena £5 lub \$12 (+ porto)

Do nabycia w księgarniach lub u wydawcy:

Inicjatywa Publishers Ltd.,

8 Alma Terrace, Allen St., London W8 6QY

JĘDRZEJ GIERTYCH

**TYSIĄC LAT HISTORII POLSKIEGO NARODU
(W 3 TOMACH)**

Tom I — 395 str. Tom II — 400 str. Tom III — 216 str.

Dorobek całonocnych studiów i przemysłów znanego pisarza narodowego i katolickiego

Wydane nakładem autora, a wydrukowane przez

VERITAS FOUNDATION PRESS

Cena za 3 tomy £27

Co inni piszą...

PO dwumiesięcznej przerwie spowodowanej tzw. przyczynami obiektywnymi, wznowiamy nasz przegląd prasowy. Zaczniemy od wydarzeń, które wprawdzie miało miejsce stosunkowo dawno, ale znaczenie jego nie przeminiło. Mamy na myśli trzecią podróż apostoła Jana Pawła II do Ojczyzny. W prasie zachodniej ukazało się wiele komentarzy nie zawsze rozsądnych lub wnikliwych, o czym wspominał Tomasz Wołek w czerwcowej *Myśli Polskiej*. Na tym tle wyróżnia się korzystnie korespondencja z Warszawy Josepha Vandrissie, specjalnego wysłannika dziennika paryskiego *Figaro* (nr 13308). Reasumując wyniki pielgrzymki papieskiej podkreśla on, że pomimo przewidywanych z góry trudności uwieńczenia została pełnym powodzeniem. Niewątpliwie zaliczona będzie do jednej z najważniejszych pontyfikatu Jana Pawła II. Papież wykazał raz jeszcze, jak mistrzowsko potrafi zapanować nad sytuacją niezwykle skomplikowaną. Korespondent pisząc dalej o milionowych tłumach osób i to osób modlących się, dodaje:

Taki właśnie jest Kościół w Polsce. Jego obecność jako instytucji społecznej pod rządami komunistycznymi ma z pewnością swą wyraźną wymowę polityczną, ale siła jego pochodzi przede wszystkim z wiary. W Polsce bardziej niż gdzie indziej strona duchowa jest czymś realnym.

Z kolei Joseph Vandrissie pisze, że według zwyczajów panujących w demokracjach zachodnich, niektórzy komentatorzy brali pod uwagę tylko pewne wybrane urywki przemówień papieskich, by z nich snuć wnioski na temat ewolucji politycznej w Polsce na krótką metę, a przedtem przewidywali, że Papież wyznaczy konkretną drogę, jaką powinny kroczyć Kościół i państwo w celu osiągnięcia porozumienia pod dyktando realizmem politycznym. Jednakże Papież takiego zamiaru absolutnie nie miał. Dalej czytamy:

Zasadniczo biorąc, Papież patrzył na sprawy długofalowo, kreśląc poglądy na temat niezależnego działania. Na krótką zaś metę pozostawiał zainteresowanym stronom — to jest Kościołowi i państwu — podjęcie nieodwrotnych inicjatyw dla odblokowania sytuacji. Kto nie robi takiego rozróżnienia, ten naraża się na takie niepotrzebne pytania jak — czy Papież w Polsce nie przekroczył swych uprawnień duchowych. Otóż, Jan Paweł II ma zbyt wiele zdrowego rozsądku, by występować w roli przedstawiciela Kościoła lokalnego.

Jakie więc szlaki nakreślał Papież?

Przed wszystkim mówił o prawach człowieka, bez poszanowania których nie ma mowy o żadnej ewolucji. Jan Paweł II z naciskiem podkreślał, że żadne państwo nie może ignorować tych praw i nie zważać na aspiracje społeczeństwa, które pragnie wolności, zwłaszcza wolności wypowiedzenia swych poglądów, stowarzyszenia się i — jak mówi Papież — samorządności w życiu narodu.

W tym kontekście Jan Paweł II sprecyzował swe myśli w dwóch zasadniczych sprawach. Najpierw — i to z zaskakującą odwagą, zważywszy, iż przemawiał

w państwie komunistycznym — jak najbardziej jasno stwierdził, że droga otwarta przez materializm komunistyczny jest drogą bez wyjścia i że ustrój opierający się na walce klas sam siebie niszczy. Po drugie Papież stwierdził, że w przeciwieństwie do tego „Solidarność” swym duchem oraz swą ideą otwiera zupełnie nowe perspektywy.

Według Papieża, perspektywy te są cenne wszędzie, dla każdego społeczeństwa, w tym także „krajów dobrobytu”, ale znaczenie mają dla Polski dzisiejszej. Korespondent pisze dalej:

Idąc po tej linii, Papież chciał być konkretny i rozwiązać wszelkie wątpliwości. Nie zaważał się oddać oficjalny hołd „w imieniu Kościoła” wysiłkom podjętym w sierpniu 1980 r. przez „Solidarność”, stwierdzając że utworzenie „niezależnego i samorządnego” związku zawodowego, potrzebnego w Polsce, zgodne jest z przesłaniem nauki społecznej Kościoła.

Następnie Joseph Vandrissie pisze, że gen. Jaruzelski zdaje sobie sprawę z tego, iż musi ułożyć się ze społeczeństwem. Z konieczności partnerem zastępczym musi być Episkopat, ponieważ władze odmawiają przedstawicielom „Solidarności” udziału w dialogu. Zadanie Episkopatu jest ogromne, ale i kardynał Wyszyński też znajdował się w strasznej sytuacji.

Kończąc korespondent *Figaro* pisze, że była to zdumiewająca podróż, która ujawniła bogatą osobowość Jana Pawła II, nauczyciela sumień narodów oraz jego siłę duchową. Niezrównany mąż Kościoła, który sprawując swą misję apostolską, nie wyrzeka się swych korzeni. Jak powiedział Ojciec święty na spotkaniu z młodzieżą na Westerplatte — to, że jestem papieżem nie oznacza, iż przestałem być Polakiem. Zwierzenie, dodaje korespondent, które doskonale oddaje w skrócie sens podróży papieskiej do Ojczyzny.

Wydanie polskie *Osservatore Romano* (nr 5,5 bis), z godnym podziwu pośpiechem, już w końcu czerwca opublikowało w dwóch numerach teksty wszystkich przemówień papieskich wygłoszonych w Polsce. Lektura obowiązkowa dla każdego, kogo interesuje Polska. Tymczasem w największym numerze tego pisma (nr 6), który otrzymaliśmy w sierpniu, odrabia się zaległości. I tak ogłoszono m.in. przemówienie Jana Pawła II z kwietniowej podróży do Argentyny. Na jeden fragment warto zwrócić uwagę. Papież przemawiając w Buenos Aires do władz argentyńskich sprecyzował stosunek Kościoła do państwa i polityki. Przyznając słuszną autonomię różnych dziedzin rzeczywistości ówczesnej, w tym polityki powiedział potem:

Tym niemniej, orędzie chrześcijańskie niesie dobrą nowinę dla wszystkich, również dla świata polityki, gospodarki czy prawa. Gdy w ramach właściwego sobie posłannictwa autorytet Kościoła głosi naukę chrześcijańską czy też wypowiada sądy o charakterze moralnym, gdy popiera działania na rzecz godności osoby ludzkiej i jej niezbywalnych praw — zabiega przede wszystkim o integralne dobro wspólnoty politycznej, w ostatecznym zaś ra-

chunku — o dobro osoby. Jednocześnie Kościół uznaje pełne prawo katolików świeckich do działalności na rozległym polu zagadnień politycznych i do wybierania takich rozwiązań, które są zgodne z wartościami ewangelicznymi. Zjednoczeni ze wszystkimi ludźmi pragnącymi zabiegać o dobro wspólnoty, stoją oni przed odpowiedzialnym zadaniem poszukiwania i wcielania w życie prawdziwie ludzkich rozwiązań dla problemów stawianych przez współżycie społeczne i naszą epokę. Kościół uczestniczy w najlepszych aspiracjach człowieka i proponuje mu własną koncepcję: „globalną wizję człowieka i ludzkości” (Populorum progressio, 13).

Zarówno państwo, jak i Kościół — każde w swym własnym zakresie i własnymi metodami — pełnią służbę na rzecz osobowego i społecznego powołania człowieka. Otwiera się tu szerokie pole dla dialogu i dla rozmaitych form współdziałania, przy czym zawsze przestrzegać należy wzajemnego poszanowania własnej tożsamości i funkcji swoistych dla każdej z tych obu instytucji.

Chociaż między sytuacją w Argentynie a sytuacją w Polsce istnieje wiele różnic, to jednak słowa te są też aktualne w naszym kraju. Jan Paweł II w swym nauczaniu przedstawia tak samo najważniejsze problemy świata w świetle Pisma świętego i Magisterium, czy to będzie w Polsce czy też gdzie indziej. Czasem niektórzy komentatorzy nie chcą lub nie potrafią zrozumieć, że nauczanie papieskie ma charakter powszechny.

Polacy niewątpliwie interesują się papieżem Janem Pawłem II, czego dowody mieliśmy w Polsce podczas czerwcowej pielgrzymki. Problem polega jednak na tym — jak ludzie interesują się Papieżem?

Na pytanie to stara się odpowiedzieć w *Tygodniku Powszechnym* (nr 31) redaktor wydania polskiego *Osservatore Romano*, ks. Adam Boniecki. Podkreśla on, że zainteresowanie tym pismem jest poniekąd wskaźnikiem zainteresowania nauczaniem Papieża. Pismo to bowiem jest jedynym źródłem dostępnym w języku polskim, które podaje w tak szerokim zakresie teksty papieskie.

Na wstępie ks. Boniecki opisuje, w jaki sposób odbywa się kolportaż *Osservatore Romano* na terenie Polski:

Wysokość nakładu określa się na początku roku. Parafie zgłaszają swoje zapotrzebowanie diecezjom, diecezje Sekretariatowi Episkopatu, Sekretariatowi administracji „L'Osservatore”. Nakład nie jest ograniczony i w praktyce może być powiększony także w ciągu roku. Każdy kolejny numer, w ilości odpowiadającej zamówieniu, zabierają do Polski krajowe TIR-y. TIR przyjeżdża po odbiór pisma po otrzymaniu zgody władz na wejście numeru. Transport dociera do Warszawy, skąd każda diecezja odbiera swoją część. Następnie poszczególne diecezje zajmują się przekazywaniem pisma parafiom na swoim terenie, parafie zaś dostarczają je czytelnikom. Obecnie system transportu został udoskonalony, co niewątpliwie przyspieszy docieranie „L'Osservatore” do diecezji. Cena numeru w Polsce wynosi 50 zł, we Włoszech 700 lirów.

To, co dalej pisze ks. Boniecki nie jest budujące. Przedstawia on dane dotyczące ilości egzemplarzy zamawianych w Polsce w ciągu ośmiu lat istnienia pisma:

1980 — 90 000; 1981 — 142 380; 1982 — 130 300; 1983 — (rok drugiej wizyty Papieża w Polsce) — 110 300; 1984 — 101 200; 1985 — 97 000; 1986 — 86 000; 1987 — (rok trzeciej wizyty Papieża w Polsce) — 80 000. Jak widać od 1982 roku ilość zamówień stopniowo spadała. Do roku obecnego zmniejszyła się o 43,7%. Nie widać też, by wizyty papieskie w Polsce miały jakikolwiek wpływ na popyt na polskie „L'Osservatore Romano”.

Smutna statystyka — spadek zamówień o 43,7%. Świadczy to chyba o powierzchowności zainteresowania Papieństwem przez przeciętnego Polaka. Istotne bowiem nie jest to, co spektakularne, ale to co mówi Jan Paweł II Kościołowi i światu. Stanowi to nieustanną katechezę jego pontyfikatu. Tym razem ks. Boniecki nie pisze, jak wygląda poczytność wydania pol-

skiego *Osservatore Romano* wśród Polaków na Zachodzie. Dwa lata temu powiedział, że zapotrzebowanie jest „małe”. Wspominaliśmy o tym w tej rubryce *Myśli Polskiej* (nr IX (85)). W W. Brytanii abonuje się 60 egzemplarzy czyli mniej niż jest polskich parafii. Nawet w Bibliotece Polskiej w Londynie nie ma w czytelni wydania polskiego *Osservatore Romano*, chociaż prenumerata roczna kosztuje mniej niż £10 (słownie: dziesięć).

Czyżby Polacy zarówno w kraju jak i na emigracji byli do siebie podobni pod tym względem? Emocjonalne wzruszenia, fotografia z Papieżem lub ewentualne uściśnięcie jego ręki — tak. Ale to, co Papież naucza — nie interesuje bardzo.

„Przyjaciół Polski w BBC”. Pod takim nagłówkiem *Times* (nr 62840) zamieścił wspomnienie pośmiertne o Gregorym Macdonaldzie, który zmarł w Londynie 30 lipca br. W życiu jego dominowały dwie sprawy: Kościół i Polska. W młodości związany był z G. K. Chestertonem oraz jego tygodnikiem *G. K. Weekly* i tzw. dystrybucyjnym. Pisywał też do angielskiej prasy katolickiej. Studia odbył w Oksfordzie, a na Uniwersytecie Londyńskim, w Szkole Studiów Słowiańskich specjalizował się w historii politycznej Polski. W *Times* czytamy o Macdonaldzie:

Podróż do Polski we wczesnych latach wywarła ważny wpływ na jego

życie religijne i zachęciła do tak szczególnie polskiego nabożeństwa do Matki Boskiej Częstochowskiej. Ale Polska pod każdym innym względem odgrywała także ważną rolę w jego życiu. Był sekretarzem Towarzystwa Anglo-Polskiego i Funduszu Pomocy Polsce.

Macdonald zaczął pracować w BBC w 1941 r. i wkrótce został kierownikiem Sekcji Polskiej. Po zakończeniu wojny, pomimo panującej euforii z powodu zwycięstwa, Macdonald uważał i dobrze zdawał sobie sprawę z tego, że Polska została zdradzona przez swych sojuszników. Starał się o zachowanie obiektywizmu w tej bolesnej sprawie w programach europejskich BBC.

Później był szefem świeżo utworzonego Serwisu Środkowo-Europejskiego, który obejmował sekcje polską, czesko-słowacką i węgierską, a z czasem fińską. Wiele wyrazów wdzięczności od słuchaczy z powodu ścisłości informacji, powściągliwości i sympatii w programach BBC w okresie zaburzeń w Polsce i na Węgrzech w 1956 r. były dowodem sukcesu za czasów szefostwa Macdonalda. Po przejściu na emeryturę w 1965 r. Macdonald nadal pisał jeszcze przez wiele lat komentarze dla BBC na tematy środkowoeuropejskie.

Ze śmiercią Gregory Macdonalda przeczadziły się szeregi przyjaciół angielskich, którzy znali i interesowali się sprawami polskimi od dawna, a zwłaszcza w okresie drugiej wojny światowej i wkrótce potem.

W.L.

ZAMIAST KWIATÓW

Zamiast kwiatów na grób śp. Heleny Kapsa, primo voto Malhomme, na Fundusz Prasowy „Myśli Polskiej” Paweł Hęciak — Londyn wpłacił	£20.00
Dla uczczenia pamięci swej Żony śp. Zofii dr S. Rola-Szuskiewicz (Main St. Box 269, Melfa, VA 23410) wpłacił	\$50.00
Dla uczczenia pamięci Bolesława Kwiatkowskiego zmarłego 22 sierpnia 1987 r. na Fundusz Prasowy „Myśli Polskiej” Zofia Kwiatkowska — Harper Woods, Mich. wpłaciła	\$1000.00
Dla uczczenia pamięci swego Męża śp. Jerzego Demetraki-Paleologa, członka Stronnictwa Narodowego, zmarłego 24 czerwca 1987 r. Lidia Barbara Paleolog — Manchester wpłaciła	£10.00

FUNDUSZ PRASOWY

Na Funduszy Prasowy „Myśli Polskiej” wpłacili:	
Stanisław Tomaszuk — Lens	Frs 100.00
Alfons Chrastek — Avion	Frs 40.00
Eugenia i Roman Kaniukowie — Auckland	£ 10.00
Koło S.N. w Birmingham	£ 5.43
Koło Przyjaciół „Myśli Polskiej” w Waszyngtonie	\$ 80.00
Cela Sikora — Ebnese, Austria	\$ 32.00
Fr. Stephen — Ottawa	C\$ 25.00
L. M. Meinhardt — Peterborough	C\$ 6.00

Wszystkim Ofiarodawcom serdecznie dziękujemy.

Ś. † P.

KAZIMIERZ SOSNOWSKI

ur. 4 marca 1911 w Wilkowie w Ciechanowskim, ppor. rezerwy, absolwent Wydziału Handlu Spółdzielczego w Krakowie, uczestnik kampanii wrześniowej w obronie Modlina w składzie 32 pp, internowany w obozie jeńców w Murnau, po uwolnieniu oficer II Korpusu we Włoszech, czynny działacz katolicki, społeczny i oświatowy, b.wieloletni kierownik Koła Stronnictwa Narodowego w Wolverhampton, zmarł 29 lipca 1987.

Żegnamy ofiarnego, zasłużonego działacza, dobrego człowieka i przyjaciela.

STRONNICTWO NARODOWE

Ś. † P.

JERZY CIEPICHAŁŁ

absolwent Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie, filister korporacji K! Montana, działacz organizacji narodowych środowiska warszawskiego, żołnierz Brygady Karpackiej, wieloletni pracownik działu finansowo — gospodarczego w centrali Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, zmarł w Londynie 16 września 1987 w wieku 75 lat.

Żegnamy szczerego patriotę, szlachetnego człowieka i wernego przyjaciela.

STRONNICTWO NARODOWE